

KORNEL UJEJSKI.

---

SKARGI  
JEREMIEGO.

---

DROBNE POEMATKA  
I URYWKI





SKARGI JEREMIEGO.

---



W Juni 13. listopada 1901  
(Ad studium artium litterarum colendum)

M. Stodnick



Kornel Ujejski

SKARGI  
JEREMIEGO

KORNELA UJEJSKIEGO.



WYDANIE SZÓSTE DRUGĄ CZĘŚCIĄ POMNOŻONE.



~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH  
PRZEMYŚL 2653  
NAKŁADEM KSIĘGARNI JELENIA I LANOJA.  
1893.~~

**Na składzie  
w KSIĘGARNI POLSKIEJ  
w LwowIE.**



Uje  
ska  
8-1

~~2653~~



CZCIONKAMI Drukarni Ludowej we Lwowie  
pod zarządkiem St. Baylego.



~~SN~~

23001



821.162.1-1




# SKARGI JEREMIEGO.

---

Część pierwsza.

Napisana w r. 1846.





9. ....widziałem pod ołtarzem dusze pobitych dla słowa Bożego i dla świadectwa, które o niem mieli.
- 10 I wolali głosem wielkim, mówiąc: Czemuż wždy miły Panie któryś jest święty a prawdziwy, nie sądzisz a nie pomścisz się krwi naszej nad tymi, którzy mieszkają na ziemi?
11. A dano z nich każdemu po szacie białej i powiedziano im, aby jeszcze w spokoju byli do czasu małego, aźby się dopełnił poczet spóślug i braci ich, którzy mają być pobici jako i oni.

*Apokatyptis Roz. VII*





## SŁOWO JEREMIEGO.

**J**eremi, sługa ludu, syn ziemi natchniony,  
Wyleciał nad obłoki jako ptak zraniony,  
I patrzył w swoją matkę, co pod jego okiem  
Płonęła nito lampa przykryta obłokiem,  
I dumał nad jej życiem tak bladym i niskim.  
Aż oto światłość owa czerwieniszym połyskiem  
Buchnęła, i gwar dziki powiał od niej nagle...  
A więc zwinął Jeremi białych skrzydeł żagle  
I spuścił się z błękitu.....

Patrzę... moją ziemię  
Krew zlała!... to wróg moje pomordował plemię.

Jeremi, sługa ludu, syn ziemi natchniony,  
Co wzleciał nad obłoki jako ptak zraniony,  
Uczuł jak krew płynęła z jego dawnej rany,  
Bo z braćmi pobitymi był sercem związany,  
A więc upadł z obłoków — bo swej krwi kropelkę  
Chciał dorzucić w czerwone to jezioro wielkie...  
Bo zapragnął na biednej matki swojej łonie  
W sen pieśni ukołysać rozmiotane skronie.

Na ziemi jego Ojców były luny krwawe,  
Krzyk rozpaczy przedzierał się przez śmiech i wrzawę;

Pośród ogniów szatana przemykały posły  
 I worki z srebrnikami dla Judaszów niosły!  
 A za nimi dzicz ślepa z wyciągniętym nożem  
 Szła, jak plaga strącona karaniem nie Bożem:  
 Gdzie przeszła zapadały domy — groby rosły!

Jeremiu krew wrząca skoczyła do skroni,  
 I mniemał, że miecz dzierży archanielski w dłoni  
 I okiem iskier pełnem spozjrzał po narodzie,  
 I mniemał, że w nim duszę odbije jak w wodzie.  
 A przy drogach jak stare pochylone słupy  
 Sterczeli ludzie — spozjrzał im w twarz: żywe trupy!  
 Bo wszyscy skamienieli, nikt bolem nie władał:  
 Kto pod ciosem nie upadł, ten z niemocy padał!  
 I widząc to Jeremi spłonął strasznym gniewem,  
 I ze snu chciał ich zbudzić brzękiem, słowem, śpiewem;  
 Więc na górę z rumowisk podniósł się po zgliszczach,  
 I mieczem bijąc w lutnię ćwiczoną na mistrzach,  
 Łunami obleczony i dymem owiany,  
 Uderzył w hymn jak jego serce potargany.

### PIEŚŃ ZEMSTY.

Razem głosy, dłonie razem  
 A nie próżne dłonie;  
 A ty zahucz nam na ucztę  
 Sycylijski dzwonie!  
 Już oddawna chytry wróg  
 Krwią frymarczy laszą,

Naszą krzywdę święćąc Bóg,  
Święci zemstę naszą.  
Póki starczy w żyłach krwi, póki w piersiach tchu:  
Zemsta mu!

Pan miłuje zapal sily,  
Nie bezmocy trwogę;  
On rzekł: „Kto sobie pomaga,  
„Temu dopomogę“.  
Wždy z pod stopy lichy płaz  
Na wolność się pręży,  
Mamyż leżeć jako glaz,  
Gdy nas wróg ciemieży?  
Hej! olbrzymów dawna krwi, obudź nas ze snu:  
Zemsta mu!

Wróg, podobny do onego  
Zdeptanego węża,  
Jednych kusi, drugich truje,  
A wszystkich rozprzeża.  
Póty jemu w świecie stać,  
Póki mętne matnie;  
A więc on na rodną brać  
Zbroił dłonie bratnie!?!..  
Za tysiące spadłych głów na katowskim pniu:  
Zemsta mu!

I wróg, ten dziki satrapa,  
Hańbi nasze córki,

I przy pieśni niewolników  
 Szare kręci sznurki;  
 Potem w ziemię wbija słup,  
 Porywa nam syna  
 I na czarnych ptaków łup  
 Na sznurku upina...  
 Więc za każdą taką nić skrwawionego lnu:  
 Zemsta mu!

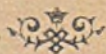
Słowo święte, słowo wiary  
 Wróg oddechem ziębi,  
 A więc pieśń o zemście naszej  
 Skryjmy w serca głębi:  
 A tam tajnie niechaj w niem  
 Jak wulkan się chowa,  
 (Tak w pieczarach dawny Rzym  
 Skrywał prawdy słowa),  
 Aż wyleci kiedyś w świat na kształt pieśni chrztu  
 Zemsta mu!

A Ty Panie! co w Swem ręku  
 Wążysz nasze losy,  
 Boże wielki! dla tej pieśni  
 Otwórz swe niebiosy!  
 A gdy przyjdzie ów dzień nasz,  
 Ów dzień upragniony,  
 Ty aniołom swoim każ  
 W cztery świata strony  
 Na miedzianych trąbach grzmieć hasłem w onym dniu:  
 Zemsta mu! zemsta mu! zemsta mu!



I odśpiewał Jeremi tę pieśń rwącą szałem,  
I wychylił się za nią duszą, sercem całym,  
Drgnął naród! — lecz za chwilę ściągnięty łańcuchem  
Znowu opadł — bo Bożym nie odetchnął duchem,  
I nie w Bogu, lecz w zemście ze snu się obudził.  
A Jeremi, gdy poznał, że swe skrzydła zbrudził,  
Za śladem skruszonego króla i proroka  
Chciał zapłakać — i ręką gdy sięgnął do oka,  
To zamiast łzy, krew sępia spłynęła mu z powiek:  
I poznał, że u Boga niżej stał — niż człowiek!  
A więc czołem uderzył, jak syn się rozżalił  
I Panu na ofiarę całą duszę palił,  
I przed progiem kościoła długo pokutował;  
Aż w końcu Pan w litości język mu rozkował,  
Ażeby, modląc Jego — imię Jego chwalił.

O mój ludu! krwią moją są te pieśni moje!  
Jam je, jak w arkę świętą, złożył w ręce twoje;  
Niechaj gra w twych natchnieniach, niech w twych  
[żyłach płynie,  
Niech wrogom urągając, w tobie nie zaginie,  
A innego pęgięrza nie trzeba dla wroga...  
Dla szatana najsroższą karą — „chwała Boga“!



## NOC NATCHNIENIA.

Modlitwa wstępna.

**P**oglądam w niebo — a niebo ciche,  
Patrzę na ziemię — a ziemia śpi,  
Ona, co we dnie miota się w pychę,  
Ona, co we dnie broczy się w krwi.  
A teraz księżyc srebrną pogodą  
Obrylantował rosisty wrzos,  
I stoją sennie wierzby nad wodą,  
A wiatr leciuchny muska im włos,  
Wonieje ziemia i płoną zorze...  
Mój Boże — mój Boże!...

Wzlatuję w górę, między obłoki,  
Z jaśni błękitu pozieram w dół;  
Widzicie! oto kraj nasz szeroki,  
Jak zastawiony dla gości stół!  
Różnowzorowym kryty kobiercem,  
Na nim chleb biały i sól i miód,  
Jak siwy gazda z otwartem sercem  
Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód;

Puharem stoi jedno, drugie morze...

Mój Boże — mój Boże!...

A na tej ziemi lud się położył,

Lew — co przed światem straż trzymał wciąż,

Gdy wstrząsnął grzywą, gdy brew nasrożył,

Kłębem się zwijał pogaństwa wąż;

A żywot jego jako stal twardy

I w słońcu wiary błyskał jak stal,

Przed Bogiem korny, sąsiadom hardy,

Rozrastał w sławie -- toż szumem fal

Klaskało jemu jedno, drugie morze...

Mój Boże — mój Boże!...

A oto patrzcie — tę ziemię błogą

Zbójca-grabieżnik naszedł — nie gość,

Nasze świątnice niszczył pożoga,

Naszej przeszłości wyrządzał złość.

A oto patrzcie — gdy krusząc pęta,

Z ciężkiej niemocy powstawał lew,

To chytry tygrys podmówił lwięta,

By wytoczyły ojcowską krew.

I krew płynęła w jedno, w drugie morze...

Mój Boże -- mój Boże!...

I krew spłynęła — i znów ni śladu

Po strasznej męce, po strasznej łzie;

A noc tak cicha... liść winogrodu

Po mojem okuie wiotko się pnie,

I białe brzozy tam stoją w rzędzie,  
Drzemiące głowy ku ziemi gną,  
A tam przy brzegu marzą łabędzie  
O gwiazdach spadłych na wody dno.  
Wonieje ziemia i płoną zorze...  
Mój Boże — mój Boże!...



I.

OJCZE NASZ.

**N**a gwiazdach oparty, z za obsłon błękitu,  
O Panie! przegładnij nas okiem,  
Patrz, ile tu śmiechu, zwątpienia i zgrzytu  
Pomiata cierpieniem głębokiem,  
Jak życie Twych ludów opaczną szło drogą  
Na uździe ciemiężców, pod biczem...  
To ziemię zhańbioną w otchłanie trąć nogą!  
Nie umie być wolną — niech będzie znów niczem!  
O zniszcz nas lub podnieś! wołamy do Ciebie,  
*„Ojcze nasz, któryś jest w niebie“!*

Niech światło Twej łaski ród wzniesie zdeptany,  
Jak księżyc, co morze podnosi;  
Z ołtarzów i z tronów strąciwszy bałwany,  
Niech Ciebie za Pana ogłosi;  
A ludy, gdy znamion pozbędą się pychy,  
Za Tobą polecą jak roje,  
Miodowe zapasy gromadząc w kielichy...  
*„Święć się Imię Twoje“!*

Niech ludy, co w wiecznym trapiły się boju,  
Odetchną w braterstwie i zgodzie;  
Niech rosną w tak zgodnej równości, w pokoju,  
Jak rosną szuwary na wodzie;  
Niech miłość i wolność opaszą tę ziemię,  
Jak wiecznie zielone powoje;  
Niech jeden Bóg będzie — cel jeden — i plemię...  
*„Przyjdź królestwo Twoje“!*

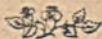
O, wtenczas to, wtenczas żyć byłoby warto  
Swobodnym pod Twoją opieką!  
Dziś, kiedy nam przyszłość niewolą zaparto,  
Napróżno bijemy o wieko;  
Dziś naszej pokory rozkrusza się zbroja,  
Dziś słowy jākamy cichszemi:  
*„Bądź wola Twoja  
„Jak w niebie tak i na ziemi“!*

To ześlij, o Panie! nam Swoich proroków,  
Co w wielkiem zwątpieniu człowieczem  
Rzucają pociechę jak manę z obłoków,  
A słowem wojują jak mieczem!  
I daj im stal w piersi, grom w głosie, skrę w oku,  
A kieruj ich okiem i głosem;  
Na Pańskiej biesiadzie umieść ich przy boku,  
Niech pierś Twą obwiną swym włosem,  
I nasyc nas wszystkich pokarmem aniołów,  
A w gniazda hyeny i rysia  
Z odwagą pójdziemy, wstawszy od Twych stołów...  
*„Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj“!*

To wytęp tych czarnych, szatańskich handlarzy,  
Co kupczą głowami swych braci,  
Za które im tyran uśmiechem na twarzy,  
Srebrnikiem lub blaszką zapłaci;  
To wytęp ich Panie! bo ręka człowieka  
Na karę tak wielką za miękka,  
I od nich jakoby od trądu ucieka  
I skalać dotknięciem się lęka.  
A nikt ich nie karci, nikt Panie! prócz śliny  
Wyplutej na czoła tym zdrajcom —  
„I odpuść nam nasze winy  
„Jako my odpuszczamy naszym winowajcom“.

Wielbiony niech będzie, kto tyle ma męstwa,  
Że zamiast zasłonić się zbrodnią,  
Sam siebie rozpina na krzyżu męczeństwa,  
Sam stos swój zapala pochodnią!  
To dodaj nam siły, bo w trudnej tej walce  
Nieprawi przewagą się szczycą,  
Nad nimi potęga, znaczenie — i chwალce  
Wzlatują jak sępy nad lwicą.  
A wiernym w ślad idzie ubóstwo, strapienie  
I praca dla chleba dziennego —  
„I nie wódź nas na pokuszenie,  
„Ale nas zbaw odezłego“.

AMEN.



## II.

### SMUTNO NAM BOŻE!

**O**d Twego ludu, co w mękach umiera,  
Ostatnia może dochodzi Cię skarga,  
Bo nas już robak toczy i pożera  
I serce targa;  
Bo tylko próchno świeci w naszej korze...  
Smutno nam Boże!

Choć nas Twój palec ostrzega strażniczy,  
Dzieci-sieroty błądzimy wśród grzechów;  
Ależ my, Panie, wypili goryczy  
Krocie kielichów!  
Ależ my, Panie! wylali krwi morze...  
Smutno nam Boże!

Na naszych braci palące się stosy,  
Na naszych synów pragnących na palu  
Gromy dorzucasz... miast chłodu i rosy!  
Oh, toż my w żalu  
Wołamy gardłem zakutem w obrożę...  
Smutno nam Boże!



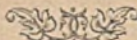
Pełni jesteśmy płaczu i żaloby,  
Że domy nasze wróg kiedyś posiędzie,  
I znieważając wodzów naszych groby,  
Plwać na nie będzie;  
Że nasze kości po świecie rozorze...  
Smutno nam Boże!

Że dotąd dębom skolysanym nocą  
Ojczyste słowa szeleszczą nad głową,  
Że w całej ziemi jaskółki świegocą  
Rodzienną mową,  
A wielu synów pogardza nią może...  
Smutno nam Boże!

Że wszelkie ptactwo, co w obcy kraj leci,  
Wiosną łańcuchem pieśń powrotu nuci,  
A z naszych braci pędzonych w zamieci  
Żaden nie wróci!  
Ciałami tylko wytyczą bezdroże...  
Smutno nam Boże!


Że wróg w lichwiarskie porwał nas objęcie,  
Łzami — perłami naszymi frymarczy,  
A my bezsilni! — i znać już pęknięcie  
Na naszej tarczy;  
Że wrogów na niej nie kruszą się noże...  
Smutno nam Boże!

I już więc nigdy, Panie, nie pocieszysz  
Lud Twój pokutny? — więdniemy jak liście  
Pod Twojem okiem, a Ty nie przyśpieszysz  
Zbawienia przyjście?!  
Toż choć przed Tobą klękamy w pokorze...  
Smutno nam Boże!



### III.

## ELI, ELI, LAMA SABACHTANI.

 Panie, Panie, czemuś nas opuścił!  
Gwiazdy nad nami zmgliły się żalobą,  
Czemuż Ty Panie! naszych łez nie uczcił  
Gdyśmy płakali przed Tobą?...

Onego czasu było orle gniazdo,  
Gniazdo zapaśne, szerokie, a całe,  
Orłowie z niego swą podniebną jazdą  
Rozgłaszali Pańską chwałę.

Orłowie, skrzydła łamiąc w zawierusze,  
Padli nieżywi na skały dalekie,  
Czemużeś, Panie, ich dzieci bezpusze  
Trzem wężom oddał w opiekę?

Orlęta skrzydeł nie mogą rozwinać  
Karmione śliną i niemocy jadem;  
Lepiej im było wraz z ojcami zginać,  
Niż w jednym gnieździe żyć z gadem!

Żałobni, Panie, żałobni my bardzo,  
Bo duchy ojców, gdy lecą obłokiem,  
To na swe syny, co ich lotem gardzą,  
Ponurem patrząją okiem.

Korni jesteśmy, choć żywot nasz lichy  
W jarzmie i w hańbie wleczeni powoli;  
Wszak łatwiej zniesiesz w człowieku grzech pychy,  
Niżli pokorę — niewoli!

U obcych ludów stoim w poniewierce:  
Ci, mimo idąc, głowami kiwają  
I zimne dłonie kładą nam na serce,  
Oni, co serca nie mają!

Inni nas cieszą lub płaczą nad nami,  
Jak owe słabe niewiasty Syonu...  
Oni w poddaństwie hodowani sami,  
Odstępcy Twego zakonu!

I mniej cierpimy przykuci do krzyża  
Naszych odwiecznych nieprzyjaciół złością,  
Niż kiedy naszym boleściom ubliża  
Niewierny kłamną litością.

O! jakże cierpkie są Panie te słowa,  
Lecz ból niezmierny pierś naszą rozrywa,  
O, Panie! dziecko, gdy w grób matkę chowa,  
To płaczem ryczy — nie śpiewa!

Więc Ty, o Panie! opuść ku nam ręce,  
Podnieś nas, zanim rozpacz nas ogarnie,  
Bo szkoda, Panie, aby w strasznej męce  
Twój naród zaginał marnie.

I daj nam siłę, by za dawne grzechy  
My aż do końca wytrwali w pokucie;  
Bo gdy dla siebie nie widzi pociechy,  
Trętwieje miłość i czucie.



IV.

SUPLIKACYE.

„Święty Boże, Święty mocny,  
„Święty nieśmiertelny —  
„Zmiłuj się nad nami“!

I ogarnął postrach nocny  
Twój lud niegdyś dzielny —  
Zmiłuj się nad nami!...

Jako kłosa wstajem z bolem,  
Zgłuszeni kłakolem —  
Zmiłuj się nad nami!...

„Od powietrza, głodu,  
„Ognia i niewoli —  
„Wybaw nas Panie“!

Od wrażego rodu  
Pastwy i swawoli —  
Wybaw nas Panie!

Od bratniej niezgody  
Przy czerpaniu wody —  
*Wybaw nas Panie!*

„Od zgonu nagłego  
„Bez skruchy pacierza —  
„Zachowaj nas Panie“!

I od zelżywego  
Z wrogami przymierza —  
*Zachowaj nas Panie!*

Od pokus do grzechu  
Błudniereczego śmiechu —  
*Zachowaj nas Panie!*

„My grzeszni Ciebie  
„Boga błagamy —  
„Wysłuchaj nas Panie“!

Przez ojców w niebie  
Bez grzesznej plamy —  
*Wysłuchaj nas Panie!*

Przez pełnię czaszy  
Łez i krwi naszej —  
*Wysłuchaj nas Panie!*



V.

DO BOGARODZICY.

1.

**B**ogarodzico, Dziewico,  
Przyjmij ten głos człowieka,  
To wielkich bólów głos.  
Nas siedem krwawi mieczy,  
Potrójny gniecie grób...  
Bogarodzico!  
Jak wichrem zgięty kłos  
Kładziem się u Twych stóp.

2.

Bogarodzico, Dziewico,  
Patrz, oto naszą ziemię  
Okrecił zdradny wąż.  
Na wierne Tobie plemię  
Oh! nawróć blask Swych ocz —  
Bogarodzico!



Łańcuchem węża zwiąż  
I na dno piekła wtłocz.

## 3.

Bogarodzico, Dziewico,  
Słuchaj nas Panno czysta,  
Bo wróg urąga nam;  
Nad nami w palce śwista,  
Kiedy łyje lejem w dłoń;  
Bogarodzico!  
Ty hardy kark mu złam,  
Prochem mu osyp skroń.

## 4.

Bogarodzico, Dziewico,  
Niejedna matka płacze  
U szubienicy stóp,  
A gad tam na nią skacze,  
I czarny bije ptak;  
Bogarodzico!  
Pomnij, że krzyża słup  
I Tyś Izawiła tak.

## 5.

Bogarodzico, Dziewico,  
Umocnij nas wejrzeniem,  
Bo niosąc męki krzyż,  
Padamy pod brzemieniem,

Jak Syn upadał Twój.  
Bogarodzico!  
K'nam Galilejkę zbliż,  
Co krwawy ściera znój.

## 6.

Bogarodzico, Dziewico,  
Gołąbko Ty Syonu!  
Cudowna Twoja moc;  
Nad ziemią Twego tronu  
Roztęczuj skrzydeł blask,  
Bogarodzico!  
A w czarną ziemi noc  
Wolności pryśnie brzask.

## 7.

Bogarodzico, Dziewico,  
Wszak Polski Tyś Królową,  
Czemuż odwracasz twarz  
Od ziemi Twej na nowo?  
O! usłysz ludu śpiew,  
Bogarodzico!  
Pod Twoją świętą straż  
Składamy naszą krew.

## 8.


Bogarodzico, Dziewico,  
Wysłuchaj tę modlitwę,

Jak ojców tak i nas  
Tą pieśnią prowadź w bitwę,  
Niech wrogom strasznie grzmi:  
Bogarodzico!  
A w niespożyty czas  
Hołdować będziem Ci.



VI.

W CZEŚĆ UMARŁYM.

ch! cała ziemia ta nasza cmentarna  
Wygląda, Panie, jak czara ofiarna,  
W którą poganie zlewali krew wrogów  
Dla dawnych bogów.

Coraz się więcej spód ziemi zaplemia,  
Na nowe groby miejsca nie ma ziemia,  
A więc na prochach ojców twarzą bladą  
Syny się kładą.

I oto, Panie, jak się wypiętrzyła  
Warstwami trupów sypana mogiła!  
A innem licem każda pokolenia  
Warstwa się zmienia.

I najprzód leżą daleko u spodu  
Ciemne olbrzymy, ojcowie narodu:  
Ci pospierali o krwawe oszczepy  
Czaszek czerepy.

I niedźwiedziową okryli się skórą...  
A znać im z oczu przymkniętych ponuro,  
Że w borach wiodły niejeden bój dziki  
Te zapaśniki.

A na tych ciałach szeregiem się łożą  
Ludzie, co znali już naukę Bożą,  
Bo szorstkie dłonie na zbroi ze stali  
W krzyż poskładali.

A każdy patrzy pokojem natchniony ;  
Widać, że poległ dla kraju obrony,  
Widać, że synom kraj wolny zostawił  
I siebie wsławił.

Wyżej na owych ojcach bogobojnych  
Kłębią się ciała w rzutach niespokojnych,  
Jak na wędrowcach, co zmylili drogę,  
Znać na nich trwogę.

Jedni z nich troską zadumani leżą,  
Drudzy w rozpacz miecz złamany dzierżą,  
A inni zdrajców osypani trądem  
Straszą się sądem.

A prócz tych, Panie, co śpią w ziemi zmierzchu,  
O! ileż trupów tu, na samym wierzchu!  
A wszystkie w niebo patrząc znaną twarzą,  
Ach! o nas marzą...

Sercem i ręką naszą obwiązani,  
Teraz, o Panie, leżą przepasani  
Przez szyję siłą pręgą, a przez łono  
Pręgą czerwoną.

I jako słudzy Twoi w dawnej Romie  
Z pieśnią stawali na płonącym łomie  
I na świadectwo Twojej wiecznej prawdy  
Cierpieli zawdy;

Tako i nasi bracia, wielki Boże!  
Jak na spoczynek szli na krwawe łoże,  
A strasznym bolem pokurczone wargi  
Nie miały skargi.

Panie! toż wszystkie ojców naszych winy  
Już śmiercią swoją okupiły syny —  
Panie! Tyś musiał zmarłych poczet cały  
Wziąć już do chwały.

A jeśli naszą pokutę żalobną  
Chcesz nam przedłużyć — daj nam śmierć podobną,  
Ale nam powiedz: „Do ofiarnej katni  
„Idźcie ostatni“!

Ale nam powiedz: „Was umieszczę w chwale,  
„Kraj wasz ku morzom rozścielę wspaniale,  
„A dzieci wasze do jednego stołu  
„Sproszę pospołu“!

Cześć, cześć i chwała niech będzie popiołom,  
W proch, w proch, w pokorę giąć się naszym czołom,  
W jęk, w łzę rozlewać to nasze wołanie  
Do Ciebie Panie!



VII.

MODLITWA WIĘZŃNIA.

**M**ówią, o Panie, żeś mię upokorzył,  
A Tyś mi zasług i chwały przysporzył;  
Mówią, o Panie, żeś Ty na mnie gniewny,  
Ze twardy grzesznik Twoje gromy kuszę,  
A wždy ja w duszy spokojny a pewny,  
Bom w Tobie, Panie, położył mą duszę.

I Tyś nad ludzi wywyższył mię wielce,  
Bo płoniesz we mnie jak w rosy kropelce  
Słońce; snać Tyś mię bardzo umiłował  
I jako syna pokochałeś szczerze,  
Kiedyś mię Panie na męki zachował,  
Bym dał świadectwo Twojej świętej wierze.

Snać łaska Twoja jest ze mną, o Boże,  
Gdy wróg się trwoży, a ja się nie trwożę.  
Niedawno temu, jak mię na powrozie  
Przed liczne sługi cesarskie przywiedli,  
Więc mię pytali w pogardzie i grozie:  
„Tyżes to“? — *Jam jest.* — A oni pobledli.



Potem sędziowie posiadali w kole,  
I położyli krzyż Pański na stole,  
I rzekli: „Ktoś ty?“ — Jam sługa narodu.  
— Coś czynił z dawna? — pytali ze złością,  
— Jam naród kochał z dawna, bo od młodu.  
Więc rzekli razem: „Tyś winien — miłością!“

A Syn Twój, Panie, co miłość nauczał,  
Co bliźnim bliźnich w opiekę poruczał,  
Co rzekł, że w niebie ci będą najpierwsi,  
Którzy kochali — bardzo się zasmucił,  
I niżej głowę opuścił na piersi,  
I oko swoje od sędziów odwrócił.

Wrogi, o Panie, pastwią się nademną,  
I na mieszkanie dali otchłań ciemną,  
Otchłań wilgotną, z ciemnością bez końca,  
Ciężkim łańcuchem skuli ręce moje...  
A mnie się zdaje, że ja mam dwa słońca!  
Że mi od ramion rośnie skrzydeł dwoje!

A jednak, Panie, ciężko sercu memu,  
I lotu ptaku zazdrozczę każdemu,  
Bom ja na świecie zostawił w żałobie  
Wiele serc bratnich i rodzinę drogą —  
To za nich oko podnoszę ku Tobie,  
Bo ręce skute podnieść się nie mogą.

Ty moje gniazdo, wszechmogący Panie,  
Swoim aniołom oddaj pod czuwanie;

Niech każdy z moich z wiecznie jasnej strugi  
Twoich błogosławieństw jasny żywot czerpie,  
I na kraj wolny nie czeka czas długi,  
I łez niech nie zna. A ja — niech już cierpię.

Nieraz ja, Panie, przez muru szczelinę,  
Gdy wzrok nie może, to myślą wypłynę,  
A myśl do mojej rodziny mię niesie,  
W raj mej zagrody cichy i uroczy —  
Och, za tym rajem dusza moja rwie się!  
Och, za tym rajem tęsknią moje oczy!

A wszakże, Panie, w Twojej leży mocy  
Wyrwać mię z więzów i z tej strasznej nocy;  
Lecz jeśli sądzisz, że moje męczarnie  
Ojczystą sprawę w stanie są popierać  
Mocniej, niż życie prześlizgane marnie...  
O Panie, Panie! ja tu chcę umierać!



VIII.

MODLITWA OJCA

przy chrzcie syna.

**C**zarny kir biore — dziecka jasne skronie  
Zalobnym znakiem pokutnika słońię,  
Krzyż mu podkładam, z którym będzie chodził;  
I tak go niosę w świątyni przedsienia,  
Bo oto w ziemi Twego potępienia  
Nowy niewolnik się zrodził!

Jam ojcem, Panie! a nad jego głową  
Wylewam skrycie łzę heraklitową,  
Godzę go wcześniej z życia jego treścią;  
O! bo kto wyjdzie z krainy żałoby,  
Kto dzieckiem ujrzy ofiar świeże groby,  
Ten już żyć musi — boleścią!

Gdybym mógł, Panie! jabym mu za młodu  
Wyporał serce, co jest na kształt wrzodu,  
A będzie chodził swobodnie, choć luźnie;  
Bo ci szczęśliwi tylko w swym żywocie,  
Co zapomnieli o sercu i cnocie...

O Panie, Panie! — ja bluźnię!!

O Panie, Panie! ciężka Twoja kara,  
Kiedy tak w duszę wkrada się niewiara,  
Że nawet ojciec niemowlę nią wita.  
W skrusze i żalu przed Tobą upadam,  
Chciałbym się modlić, a sercem nie władam...  
Ciemno mi! — Panie, już świta!

Oto ja Tobie przynoszę na rękę  
To dziecię moje, co jest pełne jęku  
I jakiejś wielkiej, tajemniczej trwogi;  
Syn to człowieczy — a pół-aniół bcski  
Zleciał na ziemię i jest pełen troski,  
Bo nie zna miejsca, ni drogi.

Więc mu krzyż Pański kładę do prawicy,  
Garsć z naszej ziemi rzucam do chrzcielnicy,  
Imię tej ziemi na piersi mu piszę,  
I oko jego obracam na słońce,  
Dwóch krzywych szabel skrzyżowałem końce,  
Na szablach dziecię kołyszę!

Chrzest się dopełnia — o Panie! o Panie!  
Niechaj to dziecię w przyszłości powstanie  
Obrońcą wiary, bohaterem, mężem —  
Za słońcem prawdy niechaj się kieruje,  
Niech swą ojczyznę nad życie miłuje,  
Niech ją wywalcza orężem!

Gdy ślubem ducha z Tobą się zaręczy,  
Niech śmiało stąpa, przy wiary poręczy,

Drogą, co przepaść ma tylko lub ciernie;  
O Panie! dziecię miej moje na pieczy,  
Dozwoł niech ono cierniem się kaleczy,  
Lecz od przepaści chroń wiernie.

Strzeż go, by obcym nie kłaniał się bogom,  
Niech Tobie służy, a nie Twoim wrogom,  
Im niech nienawiść i zemstę przysięże;  
Niech nie zna szczęścia, ni snu, ni pokoju,  
Pokąd nie będzie zwycięzca, lub w boju  
Z męczeńską chwałą nie lęże.

Oto go Tobie składam na ofiarę  
Za wolność mojej ojezyzny, za wiarę,  
Chociaż Twych sądów nie mogę ja dociec;  
Wysłuchaj Panie to moje wołanie,  
Bo świętszych modłów już nie ma, o Panie,  
Jak kiedy modli się ojciec!



IX.

ZA ZBŁĄKANYCH.

1.

**M**aleje, Panie, maleje Twój naród,  
Widomej śmierci osłabia go zaród,  
Duch jego siły z ciałem się rozprzęża,  
Toż łatwiej u nas o karła, niż męża.

Niby nas wiele — a jakże nas mało  
Wszystko się w inną stronę rozleciało,  
Twojego głosu prawie nikt nie słucha;  
Pękły ogniwa — nie stało łańcucha!

Lud nasz, o Panie! co wicherzy się spodem,  
Dotąd się jeszcze nie nazwał narodem;  
Jak liść jesienny, zgromadzony w lesie,  
Tam on ulata, gdzie go wiatr uniesie.

Do obosiecznych podobny on mieczy:  
Kto nim zamachnie, wprzód siebie kaleczy;  
A straszne jego i śmiertelne cięcia,  
Bo on ma siłę — choć siłę zwierzęcia.

I jak łódź długo więziona w przystani,  
Zerwawszy łańcuch buja po otchłani,  
I skał niepomna ukrytych pod wodą,  
Zgubną swawolę nazywa swobodą —

Tak lud nasz wybiegł w bezdroża manowców;  
A więc ty Panie, coś strażą wędrowców;  
Tę łódź błędzącą do brzegu nakieruj,  
My jej wioślarem — a Ty Panie steruj!

## 2.

Inni znów ślepą trapieni bojaźnią,  
Wrogu hołdują, z wrogiem się przyjaźnią;  
Jadem powolnym krąży w nich zepsucie,  
Pycha w nich piątrzy, a trawią ich chucie.

Jeśli się skruszą, to sercem niecałem;  
Jeśli się zerwą, to krótkim zapalem;  
Niezdolni wznieść się do żadnej ofiary,  
Popchnięci, w przyszłość idą — lecz bez wiary.

Słabe to duchy, marne samoluby,  
Syny to ciała, frymarki, rachuby,  
U nich to wielkie, co stoi przed twarzą,  
To tylko ciężkie, co na dłoni zważą.

Kiedy ich matka z grobu wstaje wskrześnie,  
Oni wołają: Zawcześnie! zawcześnie!

I każą biednej aż do jutra czekać,  
A sami będą przed jutrem uciekać.

O! Panie, oni jeszcze nie zgubieni,  
Ale nielaską Twoją nawiedzeni;  
O Panie! otchnij ich potęgą słowa,  
A jeszcze życiem tryśnie pierś jałowa.

## 3.

Tyś wielki Panie! za Twoim rozkazem,  
Co było miękkim — staje się żelazem,  
Co było ślepem — to przewidza nagle,  
Co było niskim — puszcza skrzydeł żagle.

Tyś wielki Panie! na ruch Twego palca  
Zgubną moc swoją traci jad padalca,  
Dla głów wyniosłych przepaść się otwiera,  
A wiecznem życiem splonie — co zamiera!





X.

CHORAŁ.

1.

**D**ymem pożarów, z kurzem krwi bratniej  
Do Ciebie, Panie, bije ten głos,  
Skarga to straszna, jęk to ostatni,  
Od takich modłów bieleje włos.  
My już bez skargi nie znamy śpiewu,  
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,  
Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu  
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń!

2.

Ileż to razy Tyś nas nie smagał!  
A my nie zmocy ze świeżych ran,  
Znowu wołamy: „On się przebłagał,  
„Bo On nasz Ojciec, bo On nasz Pan!“  
I znów powstajem w ufności szczerzi,  
A za Twą wolą zgniata nas wróg  
I śmiech nam rzuca, jak gład na piersi:  
„A gdzież ten Ojciec, a gdzież ten Bóg?“

## 3.

I patrzym w niebo, czy z jego szczytu  
Sto słońce nie spadnie wrogom na znak...  
Cicho i cicho — pośród błękitu  
Jak dawniej buja swobodny ptak.  
Owóz w zwątpienia strasznej rozterce,  
Nim naszą wiarę ocucim znów,  
Błuźnią Ci usta, choć płacze serce:  
Sądź nas po sercu, nie według słów!

## 4.

O! Panie, Panie! ze zgrozą świata  
Okropne dzieje przyniósł nam czas,  
Syn zabił matkę, brat zabił brata,  
Mnóstwo Kainów jest pośród nas.  
Ależ o Panie! oni nie winni,  
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,  
Inni szatani byli tam czyjni;  
O! rękę karaj, nie ślepy miecz!

## 5.

Patrz! my w nieszczęściu zawsze jednacy,  
Na Twoje łono, do Twoich gwiazd,  
Modlitwą płyniem jak senni ptacy,  
Co lecą spocząć wśród własnych gniazd.  
Osłoń nas, osłoń ojcowską dłonią,  
Daj nam widzenie przyszłych Twych łask,  
Niech kwiat męczeństwa uspi nas wonią,  
Niech nas męczeństwa otoczy blask.

## 6.

I z archaniołem Twoim na czele  
Pójdziemy potem na wielki bój,  
I na drgającym szatana ciele  
Zatkniemy sztandar zwycięski Twój!  
Dla błędnych braci otworzmy serca,  
Winę ich zmyje wolności chrzest,  
Wtenczas usłyszysz podły bluźnierca  
Naszą odpowiedź: „Bóg był i jest!“



XI.

CHWAŁA TOBIE PANIE!

**J**ak onemu Jobowi, gdy słudzy w żalobie  
Przybiegli krzycząc: „Starcze wszystkie syny  
„Pan odebrał tobie“ --- [twoje  
A on wciągnął na głowę zdartych szat zawoje  
I jęknął: „Święta wola niech się Twoja stanie,  
„Chwała Tobie Panie!“

Podobnie, kiedy zbójcy braci nam pobili,  
A my ze snu okropną ocuceni wieścią,  
Chociaż w pierwszej chwili  
Błuźnili Ci, bezbrzeżną targani boleścią —  
Jak ów Job teraz w skrusze wnosimy wołanie:  
Chwała Tobie Panie!

Twe oko, co nad płazem opiekuńczo świeci,  
I nas pokutujących trzyma na swej pieczy;  
A wszak dla swych dzieci  
Pelikan własnym dzióbem pierś białą kaleczy,  
Toż niedarmo krwi naszej stało się wylanie...  
Chwała Tobie Panie!

Wróg, jak tygrys, co we dnie pochowa pazury,  
Choć w nocy coraz nową ofiarą się krwawi,  
    A wznosząc do góry  
Krwawą łapę, udaje, że nas błogosławi;  
Więc, że teraz przed światem odkrył swą tyranie,  
    Chwała Tobie Panie

I wielu wśród nas było, co na duchu mali,  
Przed wrogiem się kłaniali, a plużąc w dostatkach,  
    Hymny mu śpiewali,  
Aż kiedy im wróg synów mordował przy matkach  
Ustały ich pokłony, ścichło ich śpiewanie...  
    Chwała Tobie Panie!

Wyрęczył się wróg w zbrodni naszą młodszą bracią,  
A swą rękę, co ciosom dawała kierunek,  
    Skrył za jej postacią;  
Lecz kiedyś, gdy ją dojmie sumienia frasunek,  
W objęcia nam się rzuci na nasze zwołanie...  
    Chwała Tobie Panie!

I myśli wróg, że jednym zniszczył nas zamachem,  
I myśli, że nam dusze, pełne świętej wiary,  
    Znicestwił przestraczem;  
Lecz my dotąd wierzymy, że z każdej ofiary  
Kiedyś tysiąc mścicieli w przyszłości powstanie...  
    Chwała Tobie Panie!

A obrazem przyszłości my się nie przestraszym,  
Bo wierzymy, że nie ma pokuty bez końca,  
    Że Ty dzieciom naszym  
Miecz zemsty błyskający oddasz na kształt słońca;  
I stanie się w ich sercach wielkie radowanie...  
    Chwała Tobie Panie!

Twe oko, co nad płazem opiekuńczo świeci  
I nas pokutujących trzyma na swej pieczy;  
    A wszak dla swych dzieci  
Pelikan własnym dzióbem pierś białą kaleczy,  
Toż nie darmo krwi naszej stało się wylanie...  
    Chwała Tobie Panie!



## XII.

### AKT WIARY.

**S** rzekł Jeremi: Słuchaj mnie narodzie,  
A nie patrz na mnie tak łzawo i smutnie;  
Długom ja płakał w oliwnym ogrodzie,  
Długo ja łzami rozdzwieczałem lutnię,  
A teraz wstaję ciałem utrudzony,  
Lecz duszą silny — wielki — namaszczoney.

Oto się do was stało moje słowo,  
Wy do mych kolan jak dzieci przybiegli,  
Otom was nakrył koroną cierniową,  
A wy w pokorze w proch czołami legli:  
Teraz powstańcie z koroną gwiazdzistą  
I oblekajcie szatę białą — czystą.

Ileż wy żółci nie pili kielichów!  
I przeto pełni byliście obawy:  
Gorycz żre duszę, lecz nie zmywa grzechów.  
Teraz, narodzie, tyś przebył chrzest krwawy:  
Tą krwią dopiero grzechyście splukali,  
A więc do światła występujcie — biali!

Ja was utwierdzić chcę w tej świętej wierze,  
 A więc bierzmuje wasze dusze jeszcze,  
 Pierś w archanielskie skuję wam pancerze,  
 Na pogląd w przyszłość dam wam oko wieszczę,  
 Pieśnią pogodzę was z dzisiejszym losem...  
 Śpiewam ją! — a wy, idźcie za mną głosem.

### P I E Ś Ń.

Wierzmy, Panie, o! wierzmy mocno,  
 Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,  
 Żeś nas zapalił jak pochodnię nocną,  
 By całą ludzkość prowadzić ku Tobie,  
 Że nam na niebie już świta zaranie,  
 Wierzmy Panie!

Wierzmy Panie, że Ty gwiazdy siejesz  
 Po naszej drodze, żeś Ty naszym świadkiem,  
 Że chociaż czasem słabymi zachwiejesz,  
 Jednak nas wszystkich chronisz przed upadkiem,  
 Żeś aniołami otoczył otchłanie,  
 Wierzmy Panie!

Wierzmy Panie, żeśmy syny światła,  
 Że nasze wrogi są dziećmi szatana,  
 Że on im stoi na czele i matla  
 Twą świętą wiarę, co niepokalana  
 Z tryumfem skończy z nim swe bojowanie...  
 Wierzmy Panie!



Wierzimy Panie, że synowie pychy  
Silni są złością, ale słabi w duchu,  
Żę jak cień żywot ich przeminie lichy,  
Że ich tu jeszcze upniesz na łańcuchu,  
Że ich płacz czeka i zębów zgrzytanie,  
Wierzimy Panie!

Wierzimy Panie, że w czas niedaleki  
Kraj nasz o morza oprze swoje końce,  
A wszystkie ludy przez wieki i wieki  
Poglądać na nas będą jak na słońce,  
Że Ty nad nami weźmiesz królowanie,  
Wierzimy Panie!



DODATEK  
DO TRZECIEJ EDYCJI.

KRZYŻ A MIECZ.

1.

**R**ozwiążmy usta wszem gwiazdom w cześć,  
Bo Pan nas święci ogniovym chrztem,  
Bo w archanielską znurzany wieść  
Každy ból nowy staje się snem,  
Bo już świat stary, jak Jerycha turmy,  
Wali się w gruzy na głos Twojej surmy,  
Tobie na chwałę, Ojczy nasz,  
Tobie na chwałę, Ojczy nasz!

2.

Pierwsza to Panie giniem bez skarg,  
Bo nam ofiarna krew płynie w jaw,  
Więc Cię tysiącem sławimy warg,  
A Ty odwagą błogo nas sław:

Aby był zbawion, gdy wytrwa do końca,  
Twego imienia Twój naród-obronca,  
Twego obozu przednia straż,  
Twego obozu przednia straż!

## 3.

Z niebieskich progów Ty schodzisz już,  
To my spokojnie idziem na sąd,  
Niosąc krew naszą zlaną do kruczy;  
Więc nas zapytasz: Dzieci, a skąd?  
Z Polski, o Panie! z głodu i pragnienia,  
A niesiem mirrę na całopalenia,  
Byś nam ojczyznę Panie dał,  
Byś nam ojczyznę Panie dał!

## 4.

A Ty nam rzeczesz: „Wiernyś ty lud!  
„Idź w bój ostatni wrogom na kres“.  
Więc miast chorągwi poniesiem wprzód  
Dzbany krwi naszej i dzbany łez.  
A gdy nas przyprze poganów plemię,  
Wtedy roztrącim dzbany o ziemię,  
By nowy hufiec z tej krwi wstał,  
By nowy hufiec z tych łez wstał!

## 5.

I z szczytu naszych mogilnych gór  
Ogłosim ludom sojusz i mir,

I zlecim z szumem orłowych piór,  
Nie z brzękiem stali, lecz z brzękiem lir;  
A jeśli przyjmą naszą pieśń z urazą,  
Czy nam w dłoń włożysz, zamiast strun, żelazo,  
To już ojcowska Twoja rzecz,  
To już ojcowska Twoja rzecz!

## 6.

Wówczas hetmaństwo weźmiesz już sam,  
A nam dasz, Panie, pioruny Twe,  
I nam, co z krzyża zeszli bez plam,  
Każesz wytępić sprośne i złe.  
I świat zamarzy o strasznych aniołach,  
Co na sodomskich siedzieli popiołach...  
A hasłem naszym: *Krzyż a miecz!*  
A hasłem naszym: *Krzyż a miecz!*

r. 1848.

W nocy po bombardowaniu  
Lwowa



## MODLITWA.

1.

**G**rzeszni, senni, zapomniani,  
Ojcze nasz!

Budzimy się już w otchłani,  
Ojcze nasz!

Daj nam jutrznię jasnowłosą,  
Z plam i ze snu obmyj rosą,  
Niech nas w górę skrzydła niosą...  
Ojcze nasz!

2.

Upadaliśmy pod krzyżem,  
Chrystusie!

Ale Tobie się uniżym,  
Chrystusie!

Twoje Imię nam buławą,  
Zmień na jasną drogę krwawą,  
Daj zmartwychwstać nam ze sławą,  
Chrystusie!

## 3

Dawna nasza Ty Królowo,  
O Maryo!  
Ach, za nami przemów słowo,  
O Maryo!  
Ochromiałym podaj rękę,  
Niewytrwałym skracaj mękę,  
Twe królestwo weź w porękę,  
O Maryo!

## 4.

Ty zwycięski na katusze  
Splyń duchu!  
Czekają cię nasze dusze  
W posłuchu!  
Rozpal miłość w naszym łonie,  
Mieczną palmę podaj w dłonie,  
Na przygasłe nasze skronie  
Splyń duchu!

r. 1860.



# SKARGI JEREMIEGO.

~~~~~  
Część druga

**U R Y W K I**

w różnych chwilach i czasach po r. 1863 pisane.

Hablo por la bocca de mis  
heridas.





I.

**N**a ziemi mogił dogasły ognie,  
Słysząc w ciemnościach syk węży —  
Cięży nam ręka straszna, oh! cięży,  
Lecz nas nie złamie, nie pognie!  
Nie płacze matka na trupie syna,  
Choć z niego proch i glina.  
Gdy przyjdzie pora,  
Jutro, jak wczoraj,  
Proch na proch weźmiem, glinę na olów —  
Pożary wstaną z popiołów!



## II.

**W**losy ściągnąłem na brwi,  
Oparłem głowę o glaz  
W ciemnej ukryty jaskini.  
Niejeden trąca mnie plaz  
I pyta: Czy on spi?  
Czy zmarły? — nic nam nie czyni...  
Wesolo w naszej pustyni!

Głos skądś wola: Spiesz!  
Tam lwięta w uściskach bratnich  
Płasają z szakalami,  
Na wspólny wychodzą łup;  
Ty jeden z tych ostatnich,  
Co wiedli nas pieśniami;  
Do zdrożnych przemów rzesz,  
Pokaż się — powinność rób.

A wkoło rzegeoce gwar,  
I pada głos jak cios:  
„Minał czas ulud i kar,

Orły wymarły i lwy,  
A na czele teraz my!...  
Wnet pójdą zmartwiałe dusze  
Pod nasze berła pastusze!...“

I nowy cios, inny głos:

„Idealem już nie świeci  
Przewaga niewiast i dzieci;  
Te z kijmi wydały bitwę,  
Tamte cud kładą w modlitwę...  
Rzeczywistość jedna czuwa;  
Niech już ludzi nie zatruwa  
Ta społeczna trój-trucizna:  
Honor, poezya, ojczyzna...“

I nowy cios, inny głos:

„Co nie ma racyi, niech ginie;  
W łomy obróćmy świątynie,  
Gruz się oplaci sowito;  
Chrystusowy Polski żłobek  
Niech także daje zarobek:  
Wynająć go na koryto...“

A do takich sprośnych głosów  
Przyplątał się szept niewieści:

„Co za obraz smętno-dziki!  
Powietrze pełne niebiosów,  
Księżyc srebrem aż szeleści,  
Po laurach płaczą słowiki,  
Na grobach hyena szczeka,  
I skrzypią szubienic szczątki,  
Strasznego szału pamiętki.  
Gdybyż teraz, a z daleka,  
Wmieszał się w te ciche tony  
Ryk lwa groźny, przytłumiony --  
Jakżeby to było ślicznie,  
Romantycznie i drastycznie!“

Zesztywniały, na glaz twardey,  
Skłębiony w pokutnym dole,  
Wszystkie wycierpiałem bole:  
Od rozpacz do pogardy.  
Bez nadziei zmartwychwstania  
Chciałem tak przejść w sen skonania;  
Lecz te głosy ciągłym zwrotem  
Uderzają na mnie grotom,  
A on moje wnętrze kraje,  
W milczeniu umrzeć nie daje --  
A więc wstaję!

Wyciągam ścięgi nóg,  
Na skalny skaczę próg,  
Wichrami grzywę maszczę,  
Sto gromów wziąłem w paszczę,

Chcieliście?... Słyszycie ryk? —  
On wam zamrozi szpik,  
On wasze kości przewierci,  
Bo on wam zwiastunem śmierci!



III.

Nie! nie! nie!

Śmierci być nie chcę zwiastunem  
    Posłanko światła i życia,  
Iskro, co z bóstwa wybiegasz okrycia  
    Broń mnie!

Broń mnie przed wewnętrznej rozterki piolunem,  
Przy którym gorzknieje słowo:

    Ty jesteś prawdą surową!

Broń mnie przed pychy ołowianą zmorą:

    Tyś uskrzydloną pokorą!

Nie daj mi cierpieć w szamotaniu dzikiem:

    Harmonią jesteś, nie krzykiem!

Czemu mnie wiesziesz tak niemilosiernie,  
Tam gdzie nie róże twe kwitną, lecz ciernie;  
Żądny spokoju, gnany niepokojem,  
Czułem moc dziwną w rozkazaniu twojem,  
Aby iść drogą odważną, nieklamną,  
Choćby po wężach, co dziś syczą za mna.

Inni wybrani twoi ulubieńce  
W ciszy pracują na miłość i wieńce,  
W czarownym stoją dla tłumów powabio  
Oni, co przędą złoto i jedwabie ;  
Z nikim w szermierce i z niczem we wojnie  
Na wiry świata patrzą, dostojnie,  
A gdy im nadto uprzykrzą się żywi,  
To z umarłymi obcują szczęśliwi,  
Lub tworzą sobie świat inny, swój własny,  
Szerszy, świetniejszy, niżli ten tu ciasny.

Mnie burza pędzi od cichego brzegu  
I każe stawać w walczących szeregu,  
A gdy chorągiew podniosę nad tłumy,  
To pomrukują, że to czynię z dumy  
Gardzę niskimi, podłymi się brzydzę,  
A faryzeje lżę i nienawidzę  
Toż moja droga nie sunie się gładko,  
Źle mi poezyo z tobą — stara matka.

I slysze głos, co nie mój:  
„Tyś nie poeta tylko, tyś i duch,  
A jego znamieniem:  
Ruch!  
Przeznaczeniem:  
Bój!“

Na mój żal, na moją spowiedź,  
O jakże chłodna ta odpowiedź,

Co z pogańskiego wybrzmiała trójnoga.  
Mnie ból i męki,  
Mnie noc i trwoga,  
Zwątpiały w siebie,  
Jak dziecko szukam ciepłej ojca ręki...  
Gdzie rada? Co zrobić?...

— Idę szukać Boga!





IV.

**R**uszej się duszo! oka nie zamykaj,  
Od rozpaczego nie chroń się widoku,  
Przy wiedzy słońce zjawi się w twem oku;  
Żyć wśród umarłych, czerpać wiarę w złościach,  
Widzieć w ciemnościach i świetlić w ciemnościach  
Przywykaj! przywykaj!

Ty dzisiaj chora, a możesz być zdrową;  
I choć ułomna, a możesz być silną;  
I choć zblakana, możesz być niezmylną...

Sinajski Boże, Jehowo!

W tobie ma siła i droga i zdrowie —  
Oto się czołgam ku Tobie, jak mrowie,  
Przez gruz spalony i skały ponure  
Chciałbym się dostać do Ciebie na górę;  
Westchnienie moje niech mi będzie lotem,  
Mały i nikły upadnę przed Tobą,  
Czy większy zlecę z powrotem?

Idę do Ciebie z żalobą  
Syn nieszczęśliwej ojczyzny;  
Wszystkie jej rany i blizny  
Niosę i czuję na sobie;  
W tej purpurowej ozłobie  
Ciężko mi!  
Ciężko mi, chmurno i ciemno...  
Zmiłuj się nademną!

Spętana dusza do Ciebie się rwie.  
Bezsenna o Tobie śni —  
Że jesteś, wiem — jesteś... lecz gdzie?...  
Zbłąkaniec ubogi,  
Bez światła i drogi,  
Mojej nadziei nie mam oprzeć na czem...

Jękiem Ciebie wyszukam, zdobędę Cię płaczem!



## V.

**S**traszny wielkością,  
 Przystępny miłością,  
 Świecisz, panujesz nielicznym światom.  
 One, jak wszystko, zmienne są — choć trwale;  
 A wobec Ciebie ni wielkie, ni małe;  
 Świat jest atomem, całym światem — atom.  
 Każde nazwanie Ciebie poniży,  
 Najczystszym duchom Ciebie nie dociec,  
 Gubi Cię łatwiej, kto szuka wyżej...  
 Niedościgniony a blizki,  
 Ty jednak, Boże,  
 Cieszysz się może,  
 Gdy twórz najlichszy, z ducha kołyski,  
 Mówi o Tobie: Mój Ojciec!

Ty słyszysz, Panie, cichy ruch atomów,  
 Gdy pragną zlać się w kształt globu;  
 Słyszysz kipienie lawy wstającej z grobu,  
 Nim przez wyłomów  
 Rozdarte wargi  
 W płomienne wybuchnie skargi.

Toż i narodu mego w rozbiciu  
Walka o całość przy gromów biciu,  
I cyklopowa praca Ojczyzny,  
    Z wnętrza jej ducha  
Ledwie przez krwawe tryskająca blizny:  
    I one Twego sięgają ucha

Każdy jęk ludu mego rachujesz,  
    Słyszysz i czujesz! —  
    Słyszysz i czujesz  
    Śpiewny żal ptaka,  
    Westchnienie robaka,  
I szeleszczący bez rosy wrzos...  
    I ten mój głos!



## VI.

Na zgon rozstrzelanych  
w Irkucku \*).

„Lepsza nam kula, niżli takie życie!“ \*\*)

Rzekli, powstałi, rozbroili zbirów;

A gdy broń mieli, to w pierwszym zachwycie  
Błysnęła ku nim ziemia lez i kirów.

Potem pustynia, skąd nie ma wychodu,

Bój, gdzie szczęśliwsi giną, — męki głodu,

I znowu dawne pęta. Sąd otwarty...

Dla katów spisy żeru... Czy słyszycie?

Padł strzał — i drugi — i trzeci — i czwarty!

Salwo męczeńska! Bądź dla tych zbudzeniem,

Których sumienia głos syren utula,

A tym, co naród chcą zbawiać spodleniem,

Powiedz: Niż takie życie — lepsza kula!

---

\*) Rozstrzelano w Irkucku dnia 15. listopada 1866 r. Szaramowicza, Celińskiego, Reinerta i Kotkowskiego.

\*\*) Słowa Szaramowicza.

Powiedz: Na sprzedaż nie wolno nikomu  
Wynosić słupów ze wspólnego domu,  
By w ciasnem szczęściu na chwilę utonąć.  
Niżli obcego ciała stać się cieniem,  
Lepiej jak gwiazda w własnym ogniu spłonąć!



## VII.

Nad Atlantykiem

**L**eżałem wsparty o granitów mur,  
Za czarną ścianą chmur  
Słońce już zgasło.  
Niepożegnane przez zorzę  
Zamroczyło się wnet morze

I w cichą spłynęło noc. Szmery słyszę —  
Czy morze falom podaje hasło?  
Czy szepce do mnie? Czy dysze? —

Jedna za drugą pomyka łódź,  
Port je w swe łono zagarnia;  
Tam jakiś olbrzym w skałę wmiesił dzidę,  
Zatknąwszy płomień u szczytu:  
To latarnia!

A morze szepce do mnie: Wstań i chodź —  
Odtrącił mnie mur z granitu:  
Wstałem — i idę.

Pienistą grzywą się przewala  
I pod me stopy ślizga fala,  
Jak stopionego szyba szkła —  
A mnie stanęła w oczach mgła.  
Fala pieszczonym szelestem  
Pyta: Czy jesteś? — Rzekłem: Jestem.

Oh! jak daleko patrzę stąd!  
    Jak głyby z progu wieczności  
    W otchłanie nieskończoności.  
Za mną pozostał stary ład:  
    Arka przesytu i głodu;  
Półwyzwoleniec swarny i krwawy,  
Cyrkowej żądny krwi i zabawy:  
    Krzywdziciel mego narodu!





## VIII.

Pamięci Trauguta.

**N**a stoku cytadeli poniósł śmierć okrutną...  
Nie ginie, kto za wiarę i wolność umiera;  
A jednak grób zarasta, pamięć się zaciera —  
To smutno!

Ledwie dla własnych potrzeb wystarcza uczucie,  
Przestano cześć oddawać żalobnym pamiątkom —  
I brakło chleba twoim sierocym dziewczątkom  
Traugucie!

Poskarżę się przed tobą, coś trwał do ostatka;  
Upada Polska — z winy, nie dzikich Moskali,  
Nie chytrych Niemców... na własne dzieci się żali  
Ta matka.

Bluźnią jej, urągają — a w każdym bluźniercu  
Już jest zatrute ziarno, co w zdradę kielkuje;  
Okropne idą czasy, okropne... och czuję  
Tu w sercu!

Dokończą pieśń przedzgonną ostatnie labędzie,  
I ścichnie na wiek cały. Powiedz, ta ich Polska,  
Ona ewangeliczna, ona apostołska,

Czy będzie?

On rzekł: Jeżeli z wiernych trzech tylko zostanie,  
Tylko trzech napelnionych dawnym ideałem,  
To Polska z tych trzech wyjdzie, oblecze się ciałem,  
I będzie!

— A jeżeli nie znajdzie i trzech — co się stanie?  
On rzekł: To duchy zmarłych jeszcze raz powtórzą  
Przebyte już żywoty i Polskę wysłużą —

I będzie!



IX.

Z piersi zamkniętej, z ust ściętych boleścią,  
O słowie polskiem rwie się głuche słowo;  
Ono by chciało być radośną wieścią,  
A jest więzienną rozmową.  
Nas zwyciężonych mur kordonów dzieli,  
I nie rozmawia już Polak z Polakiem  
Swobodnym głosem, lecz ukrytym znakiem,  
Z celi do celi.

O słowo polskie! jesteś w ręki drzeniu,  
Jesteś w połysku oka — i w milczeniu.  
O słowo polskie! wielkie w tobie czary,  
Boś się zrodziło z wiary i ofiary:  
Ze krwi męczeńskiej wzdętej burzą fali;  
Z wnętrzości wieszczów, co pieśnią płakali;  
Z łez świętych niewiast, co walczą modlitwą,  
Kiedy my walczym beznadziejną bitwą;

Z grobów, co nie są ciemnością, lecz świtem,  
 A jednak dotąd szukają zarania,  
 Bez wolnej Polski nie chcąc zmartwychwstania;  
 Z tej ziemi wreszcie, gdzie wrogów kopytem  
 Miesza się we krwi dymiącej ku Bogu  
 Puch niemowlęcy i starców siwizna;  
 A! — i ze wstydu ojców, gdy chłopięta  
 Ich zapytają: Gdzie nasza ojczyzna?...  
 Takie twe słowo Polsko! — słyszysz wrogu? —  
 Takie twe słowo Polsko, matko święta!

Czem ono dzisiaj? Westchnieniem i płaczem,  
 Zgrzytem i pięści bezsilnej ściskaniem,  
 Powolnem marciem tulaczem —  
 Ha! i wyroku strasznego błyskaniem:  
 Na sąd! na sąd!

Na sąd! na sąd!  
 Wzywamy Ciebie Boże!  
 Zatapia już ląd,  
 Nieprawości wzdęte morze,  
 Gdzie ciało — trąd,  
 Gdzie duch — tam niewola —  
 Nie taka była Twoja wola —  
 Na sąd! na sąd!  
 Wzywamy Ciebie Boże!

Idziesz już — groźny zakrytem obliczem,  
Idziesz w swem tchnieniu dziwnie tajemniczem,  
Idziesz już! —  
Za tobą oddechy burz,  
Wysokie na siedm mil brytany -  
Szereg na wodzy trzymany  
Hamowanym ogniem dyszy!...  
A nad światem całun przedwyroczej ciszy



X.

Niech wstaje pieśń!

Zdeptana i pogardzona

Niech wstaje pieśń!

Niech strząsa proch i pleśń,

Niech błysnie w słońcu jej korona

Kapłańską przewita wstęgą —

Tyś jest, ty trwasz — o potęgo!

Napróżno tobie wróżą koniec,

Cieszą się twym pogrzebem —

Tyś jako nieśmiertelny goniec

Pomiędzy ziemią a niebem.

Dopokąd czułe biją serca,

Cierpi duch ludzki potyran,

Nie spłoszy cię szyderca,

Nie spęta żaden tyran.

Wszystko od ziemi rwie się w górę.

Niegdyś, gdy ścichły już płomienie,

Popotopowe teżało błoto,  
Natenczas twory mileżące, ponure,  
Uczuwszy słońca promienie  
I wiatrów łagodny wiew,  
Wielką ku niebu zawrzały tęsknotą.  
Tęsknota daje skrzydło —  
Od skrzydeł wyszedł śpiew —  
I tak, i tak,  
Z tęsknoty pierwotworów  
Zrodził się ptak!

Czy chcemy, czy nie chcemy,  
Czem kazał Bóg — będziemy!  
Od doskonalszych my wyszli wzorów  
Niżeli ptaki i bydło;  
Wyżej tęsknota rwie nas w górę,  
Ponad tej ziemi naturę.  
Duch nasz, duch lotny, to nasze skrzydło —  
Od skrzydeł ducha wyszła pieśń...  
Niech wstaje pieśń!  
Niech strząsa proch i pleśń,  
Niech błysnie w słońcu jej korona  
Kapłańską przewita wstęgą —  
Tyś jest, ty trwasz — o potęgo!



## XI.

W dzień zaduszny.

**B**ogataś Polsko w rady i sposoby!  
Nie u żyjących wszystkie twoje siły —  
Kiedy ci mileżą — przemawiają groby,  
Kiedy ci wątpią — wierzą twe mogiły.

Bogataś Polsko! Na naszych ubraniach  
Wojenne znaki zostawiły burze:  
W strzepach chodzimy głodni po swych łąnach...  
Lecz twoi zmarli, ci leżą w purpurze!

Krwią za ojczyznę czechło farbowane  
Większą ma wartość, niżli płaszcz królewski,  
Trumna, co kryje wewnątrz taką ranę,  
Na tron wspanialszy odda swoje deski.

Z prośbą na ustach chodzimy na mogiły,  
Z otuchą w sercu, wolni od żaloby;  
Nie u żyjących wszystkie nasze siły —  
Bogataś Polsko w rady i sposoby!





XII.

**P**o każdej klęsce i zawodzie  
To mów narodzie:  
„Grzmij losie! gradem i płomieniem  
Niszcz moje plony;  
Urągam ci spojrzeniem  
Nieschylony.  
Napróžno błyskawicą w koło mnie się wijesz,  
Mnie nie zabijesz!  
Tyś martwy — ja żywy,  
Bom cierpliwy!  
Idę moją drogą,  
Orzę, sieję —  
Nim żdźbło wytryśnie, już zbieram nadzieję.  
Z wolą wrogą, z wolą srogą  
Walczę chrobrze —  
Przygniotła mnie?... i tak dobrze!  
Cierpię, lecz się nie poddaję.  
Mam ja siłę, co wzbogaca:  
Praca ducha i rąk praca —  
Jedna ginie, inna wstaje!”

\*

\*

\*

Dusze cierpliwe, bolesne dusze,  
W tej zawierusze,  
Co światem miota,  
Bądźcie spokojne, gdy pracowite.  
Choć drogi wasze węzami wite,  
Choć was otacza chmurzysk ciemnota,  
Macie pochodnię — zwie się: Ochota!

Chociaż nie lotnie,  
Byle ochotnie,  
Idźcie do krasu... Piękny to kres!  
Kto go zdobędzie  
Promieniem będzie  
Nad morzem znoju i morzem łez.

O święta, o mocna  
Cierpliwości!  
Córko rozumu i miłości!  
I jako takiej, na wieczność  
Dana ci zwycięstw konieczność.  
Przed tobą pierzcha mgła nocna,  
Jasnościom otwierasz bramę —  
I przez tę złotą ramę  
Wprowadzisz tłumy nędzarzów:  
Do ołtarzów!

Na każdym z nich,  
Na każdym takim stole  
Nie będzie jadów złych;

Chleb będzie, chleb powszedni,  
Ubłogosławiony, przedni,  
    Zdobyty w wieków mozołach,  
    Ręką Chrystusa pobłogosławiony,  
    A te ołtarze, jak trony —  
I każdy przy nim, jak król mający swą wolę.



XIII.

**M**ojo zaciszne mieszkanie  
Przed gwarem świata zamknięte;  
W niem na jednej ścianie  
Umieściłem godło święte.  
I samotny patrzę w ciebie,  
Na krwawem utkwiony niebie,  
Ptaku czystości i chwały:  
Orle nasz biały!

Potężnych twych skrzydeł końce  
Mierzyły w słońce;  
Dzisiaj w cierpieniu i męce  
Trzymasz je także do góry,  
Lecz jak błagalne dwie ręce —  
O białopióry!

Trzech . . . . . trzy miecze  
W tobie utkwily;  
A każdy inaczej piecze  
I innej próbuje siły:

Jeden cię płata, świdruje,  
Drugi obłudnie cię truje,  
Trzeci uraga, gdy szarpie...  
Ho, harpie!!...

Gdybyż te tylko! W twem łonie,  
Po drugiej, serdecznej stronie  
Tkwią jeszcze inne, aż cztery,  
Sroższe od tamtych rapiery  
Wbite po rękojęści...  
O ptaku siedmiu boleści!

Tyle krwi z ciebie wyciekło!  
A do każdej jej kropelki  
Jad szyderstwa domieszany;  
Tyle cierpiałeś bez miary,  
W drodze pokuty i kary,  
Że jużby się samo piekło  
Zemsty nad tobą wyrzekło...  
A cóż dopiero Bóg wielki,  
Miłociw, choć zagniewany!

Anielskie miałeś oręża  
I pochopne do nich męże;  
W takiej zbroi,  
Jużby ciebie do tej chwili  
Wywalczyły bohaterzy,  
Jużby ciebie wymodlili  
Święci twoi...

Gdyby nie te miecze cztery...  
Ach te cztery!

Napróżno wołasz do Boga: o Ojczy!  
Nie znalazłeś tobie pociechy...  
Bo cztery miecze, te miecze zabójcze,  
To twych dzieci własne grzechy:  
Nasza „Pycha“ i „Prywata“  
I „Lenistwo“ i „Obczyzna“.

Wśród obojętnego świata  
Nie prędzej wskrześnię Ojczyzna,  
Aż ból szczery i żal szczery  
Tak nam ducha nie owładną,  
Że wyrwiemy miecze cztery!...  
Tamte trzy wtedy wypadną.



XIV.

**W**obec wroga stać spokojnie,  
Spokojnie a hardo;  
Nasz złamany miecz po wojnie  
Trzymać w dłoni twardo;  
Jeśli trzeba płacić głową,  
Czynić to z pogardą,  
A przed wrogiem z narodową  
Nie kryć się kokardą.

Dla swych braci, co zaskrzepli,  
Być jak promień słońca:  
Sercem tylko się rozciepli  
Dla Polski obrońca.  
Nie każdemu w locie błyskać  
Wytrwale do końca,  
A więc uczcić i uściskać  
Spóźnionego gońca.

Oko Boże, skryte chmurą,  
Czyż już mniej łaskawsze?  
Rośnie w siłę, idzie górą,  
Co złe i plugawsze.  
Trwogą blady, zgrozą niemy,  
Świat ma rany krwawsze —  
Rzadko wiemy, gdzie idziemy,  
Lecz Bóg — ten wie zawsze!





XV.

**S**da dalej głodne lata —  
Więc dowody złożmy męstwa,  
Choć bez szczęścia i zwycięstwa,  
Choć przewleka się zapłata.  
Słysząc głosy po mogiłach:  
„Co nam chwałą, dziś wam skazą:  
„Nie war niech wam chodzi w żyłach,  
„Lecz żelazo!“

Lepsza dbałość, niż zuchwałość —  
Przysparzajmy sił w ukryciu,  
Te trzy hasła miejmy w życiu:  
Pracę, jedność i wytrwałość!  
Słysząc głosy po mogiłach:  
„Co nam chwałą, dziś wam skazą:  
„Nie war niech wam chodzi w żyłach,  
„Lecz żelazo!“

Kiedy pora? nam nie pytać —  
Czuwający są strażnicy,  
I w bezsennej ich żrenicy  
Zacznie wtedy płomień świtać.  
Co w nas było, znajdziem w dłoni —  
Na zwycięstwo pójdziem razem  
Lotem Orła i Pogoni  
Z tom żelazem!



## XVI.

Weteranom z r. 1831.

**P**ieśń polska, niepodległa, ta co jeno wierzy  
W Boga, w ducha narodu i w jego rycerzy,  
Więc przy Ojczyźnie stoi i hasła nie zmienia —  
Ta pieśń, co z naszych ojców wyrosła cierpienia,  
I dotąd wierne syny z całej Polski garnie,  
Bo w jej trzech ranach jedną odczuwa męczarnię;  
Ta pieśń, której ze sobą nie zabrali wieszczce,  
Nie zabrali jej w grób — nie! ona żyje jeszcze!  
Ona, kiedy bluźnierców wzmaga się rozpusta,  
Zawsze komuś w narodzie rozplomieni usta  
Rozkazując: Idź, mów, głoś! chleb anielski zamień  
Na ich gniew, uraganie — a choćby na kamień!  
Więc ta pieśń, co pogańskie omija ołtarze,  
Żadnych nie szuka zysków, głosi co Bóg każe,  
Przed mocarzami świata nie wyprawia harców,  
Ta pieśń pada do kolan tych żałobnych starców,  
Niesie im cześć i miłość synowską, pokorną,  
Choć w latach ich mundury i przy nich nie dworno.

Dla czego?... bo ci jedni w dzisiejszej rozterce  
 Zachowali myśl polską wzniosłą, czystą, zdrową,  
 W łonie wielkie, smętne serce,  
 Na ustach żelazne słowo:  
*Usque ad finem!*

Wstańcie! mówcie! podajcie złotą nić nauki,  
 Którą wnuki zerwali — nawiążą prawnuki;  
 Powiedzcie, że najsroźsza padła na nas kara:  
 W złudnej masce otuchy głęboka niewiara;  
 Dłoń rodacza, co strzępem narodowym błyska,  
 Gdy druga ręka wiernych wyznawców uciska;  
 Powiedzcie im, że temu biada, trzykroć biada,  
 Kto przyszłe swoje losy w obce ręce składa,  
 I tem samem największej pozbywa się mocy  
 Tej, która z pracy idzie o własnej pomocy;  
 Powiedzcie, że krew nasza do Polski należy,  
 Dopokąd nas przygniata hańba trzech grabieży,  
 Że dla cudzych korzyści tę ofiarną rosę  
 Tylko nędzny niewolnik bezmyślnie przelewa...  
 Kto miał w dziejach Saragosę,  
 Niech się lęka Serajewa!

O Ojczyzno! Choćbym został z wierzących sam jeden,  
 Głosić ciebie nie przestanę samotny i biedny;  
 A jeżeli nas zostanie „Ostatnich dziesięciu“,  
 My „Czwartaki“, my wytrwamy i w tem piekło-  
 [wzięciu,

Bo my wierzym, że te chwile, to jak brudne dymy:  
Przejdą, znikną — a i z grobów jeszcze wykrzykniemy,  
Przy Tobie Polsko stoimy,  
I przy Tobie stąć będziemy  
*Ad mundi finem!*



## SKARGI JEREMIEGO.

---

### CZĘŚĆ PIERWSZA.

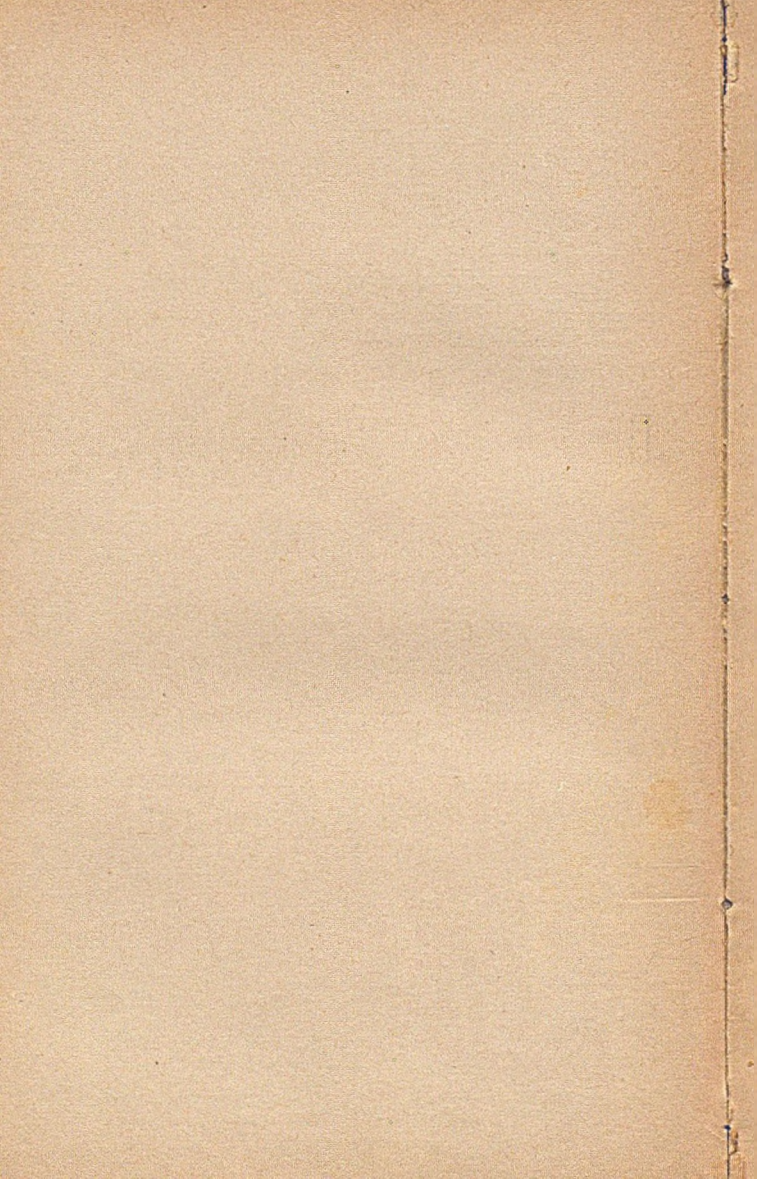
|                                                 |    |
|-------------------------------------------------|----|
| Słowo Jeremiego . . . . .                       | 1  |
| Noc natchnienia. Modlitwa wstępna . . . . .     | 6  |
| I. Ojczy nasz . . . . .                         | 9  |
| II. Smutno nam Boże! . . . . .                  | 12 |
| III. Eli, Eli, Lama Sabachtani . . . . .        | 15 |
| IV. Suplikacye . . . . .                        | 18 |
| V. Do Bogarodzicy . . . . .                     | 20 |
| VI. W cześć umarłym . . . . .                   | 24 |
| VII. Modlitwa więźnia . . . . .                 | 28 |
| VIII. Modlitwa ojca przy chrzcie syna . . . . . | 31 |
| IX. Za zbłąkanych . . . . .                     | 34 |
| X. Chorał . . . . .                             | 37 |
| XI. Chwała Tobie Panie . . . . .                | 40 |
| XII. Akt wiary . . . . .                        | 43 |
| Dodatek do trzeciej edycyi:                     |    |
| Krzyż a miecz . . . . .                         | 46 |
| Modlitwa . . . . .                              | 49 |

### CZĘŚĆ DRUGA.

|                                        |    |
|----------------------------------------|----|
| I. Na ziemi mogli . . . . .            | 53 |
| II. Włosy ściągnąłem na brwi . . . . . | 54 |
| III. Nie! nie! nie! . . . . .          | 58 |
| IV. Ruszaj się duszo! . . . . .        | 61 |
| V. Straszny wielkością . . . . .       | 63 |
| VI. Lepsza nam kula . . . . .          | 65 |

|                                               |    |
|-----------------------------------------------|----|
| VII. Leżałem wsparty o granitów mur . . . . . | 67 |
| VIII. Na stoku cytadeli . . . . .             | 69 |
| IX. Z piersi zamkniętej . . . . .             | 71 |
| X. Niech wstaje pieśń . . . . .               | 74 |
| XI. Bogataś Polsko . . . . .                  | 76 |
| XII. Po każdej kłęsce . . . . .               | 77 |
| XIII. Moje zaciszne mieszkanie . . . . .      | 80 |
| XIV. Wobec wroga stać spokojnie . . . . .     | 83 |
| XV. Idą dalej głodne lata . . . . .           | 85 |
| XVI. Pieśń polska, niepodległa . . . . .      | 87 |







DROBNE POEMATA i URYWKI.

---



DROBNE  
POEMATA i URYWKI

KORNELA UJEJSKIEGO.



WYDANIE DRUGIE POMNOŻONE.



PRZEMYŚL  
NAKŁADEM KSIĘGARNI JELENIA I LANGA.  
1893.

CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ WE LWOWIE  
pod zarządem St. Baylego.

## MARATON.

The mountains look on Marathon  
And Marathon looks on the sea;  
And musing there an hour alone,  
I dream'd, that Greece might still be free;  
For standing on the Persian's grave,  
I could not deem myself a slave.

*Byron.*

### WSTĘP.

**W**y chcecie pieśni! — wy chcecie pieśni  
Zapewne dźwięcznej i słodkiej dla ucha,  
A ja mam dla was, o! moi rówieśni,  
Pieśń, co przypomni wam brzęki łańcucha.

Wy chcecie pieśni ni kwiatu do wieńca,  
Coby wśród uczty mogła was pochwalić,  
A jabym pragnął wam w ogniu rumieńca  
Rozmiękłe dusze jak zbroję ostalić.

O! żal się Boże — tak młode pachole,  
Zamiast miłować, muszę nienawidzić,  
I jasne czoło omarszczać w mezole  
I czyste usta wykrzywiać — i szydzić.

Wciąż się szamocę szukając sposobów  
Jakby was zmeźnić, — wszystkie drogi mylne!  
A więc z pochodnią wstąpić chcę do grobów,  
Na jaw wygrzebię czyny podmogilne —

Dawnych olbrzymów przed wami postawię  
I z nimi wskrzeszę stary świat zamarły,  
Może choć wtenczas przy waszej niesławie  
Z wstydem przyznacie, że jesteście — karły.

Może choć wtenczas, stojąc na pręgierzu  
Przed sądem świata, przed własnym sumieniem,  
Przyznacie sami, że rdzę na puklerzu  
Można zmyć tylko własnej krwi strumieniem.

Cierpka to mowa, — jak krew spiekła czarna,  
Ale w niej skryta myśl zbawienia leży;  
Wszak wiecie bracia! że z cierpkiego ziarna  
Dąb rozłożył się pod niebo wybieży.

## 1.

Ha! Sardes gore! A spowity w dymie  
Gnuśny mieszkaniec snem rozkoszy drzymie,  
I osmalone nim przetaił powieki,  
Już go objęły złote ognia rzeki,  
Już nieprzyjaciel stopą pierś mu tłoczył,  
I nóż ocierał, co się w niej obroczył...  
Ha! Sardes gore! lament się rozrasta,  
Ha! Sardes gore!...

## Z płonącego miasta

Wybiegł niewolnik, a za nim w pogoni  
Jęk konających przy uchu mu dzwoni —  
On leciał nocy osłoniony mrokiem;  
Czasem za siebie rzucał trwożnem okiem,  
A wiatr przez góry za nim żarem dmuchał,  
I wrzask niósł z sobą. On stanął i słuchał:  
Może mu teraz wróg braci wyrzyna,  
I starą matkę napawa krwią syna,  
I chatę niszczy ogniem i żelazem? —  
— Hej, nie ma czasu! Z satrapy rozkazem  
Pędź dalej gończe! Jeszcze drogi wiele!  
Gdy wrócisz, trupów policzysz w popiele.  
Zerwał się goniec znękany boleścią,  
Ruszył przez puszcę z nakazaną wieścią,  
I biegł tak skoro aż do wschodu słońca;  
A gdy na czatach zszedł innego gońca,  
„Hej, Sardes gore! Do Suzy! Do Suzy!“  
Krzyknął i wrócił; a tamten przez gruzy  
Jak struś popędził, rozwinąwszy skrzydło —  
I znikł przed słońcem, jak nocne straszycło.

## 2.

Suza, wiosenna królewska stolica,  
Jako wybrana młoda miłośnica,  
Rozpieszcza pana; o, bo jej kochany  
Zatęskni w lecie do swej Ekbatany,  
A stantąd w zimie mknie do Babilonu;  
A gdy się skłoni do wiecznego schronu,

W Persepolisu skalach grób wyrąbie,  
I na wiek wieków uśnie w katakombie.

W Suzie, na dworze, król Daryusz ucztuje;  
Sto cudnych dziewic jemu służy,  
Sto niewolników na klęczkach się wije, —  
On innej wody przy stole nie pije  
Tylko z Choaspu dalekiej krynicy,  
A chleb je tylko z eolskiej pszenicy,  
A wino jego, to aż z Chalibamu,  
Sól z puszczy Afryki, ze świętego chramu  
Zewsa-Ammona. Bo każda kraina  
Pod jego ręką żelazną się zgina,  
Co ma najlepsze, z drugimi pospołu  
W pokorze znosi do pańskiego stołu.

A gdy tak Daryusz rozleżał się za stołem,  
Przybieżał goniec, i padł przed nim czołem,  
I woła: „Panie! Sardes, Sardes płonie!  
Sardes, to klejnot w twojej złotej koronie,  
A oto rokosz podnieśli Jończycy,  
Sprzymierzeńcami są im Ateńczycy,  
I palą miasto!”

A drugi nadbieży,  
I woła: „Panie! Sardes w gruzach leży!  
Ateńczyk spalił zamek i świątynie,  
Winem napełnia święcone naczynie,  
I tobie, królu przy uczcie urąga!”



Król, wściekły gniewem, wielki łuk naciąga,  
Wybiegł i w błękit wypuszcza zeń strzałę  
Z prośbą do bogów, aby tę zakałę  
Krwia obmyć dali. I jednego sługę  
Odstawił, aby każdą rwącą strugę  
Wrzawnych uczt jego tamował wykrzykiem:  
„Pomnij się, Panie! mścić nad Ateńczykiem!”

A potem Magów rozkazał przywołać,  
I pyta: „Grekom godzienem podolać?  
Naród to wielki, gdy taki zuchwały.“  
A oni rzeką: „Królu! kraj ich mały,  
I w mniejsze jeszcze rozerwany państwa:  
Łatwo go w jarzmo zakować poddaństwa.  
To szczypta ziemi, tyle, co zatrzyma  
Przechodzącego podeszwa olbrzyma.  
A gdybyś kazał ostrymi pazury  
Rozerwać stare Babilonu mury,  
To mógłbyś, Panie! żwirem i kamieniem  
Zasypać kraj ten z całym pokoleniem.“

Magowie prawdę mówili ci, królu.  
Naród to mały, lecz jak pszczoła w ulu,  
Každy z osobna o swym domu radzi,  
A gdzie potrzeba, wszystek się gromadzi.  
O! kraj to mały — tyle, co zatrzyma  
Przechodzącego podeszwa olbrzyma;  
O! kraj to mały, niby szyba tarczy:  
Lecz na grób wrogom przecież go wystarczy!

## 3.

W Atenach wrzawa! Perscy heroldowie  
Stoją na rynku i w nieznaney mowie  
Coś ciżbie głoszą. Nikt ich nie zrozumiał.  
Jeden Grek tylko, co po persku umiał,  
Wstąpił na kamień i zaczął tłumaczyć  
Na język swojski; a miało to znaczyć:  
„Daryusz, król Persów i Medów, pan świata,  
„Na harde ludy plaga i zatrata,  
„Zsyła heroldów, by mu wasze plemię  
„Na znak poddaństwa dało wodę, ziemię,  
„A może da się pokorą przebłagać,  
„I wstrzyma rękę, co ma Greków smagać“.

Za każdym słowem lud, jako lew mrucał,  
A potem śmiechem szyderczym zahuczał,  
Plwał w oczy Persom, szaty im rozdierał,  
Ciskał kamieniem, Pers z trwogi umierał,  
A lud, jak rzeka ogromna w wylewie,  
Rwał ich ku sobie — szalał w srogim gniewie,  
I włókł ich drżących poza miasta bramy.  
Tam między skalne przepaści rozłamy  
Wtrącił heroldów i w ciemnię głęboką  
Puścił za nimi w ślad ciekawe oko;  
W dzikiej radości aż zębami zgrzytał  
Widząc, jak Pers się po urwiskach chwycił,  
I czepiał cierni, i okrwawiał ręce,  
I wył, jak szakał w przedśmiertelnej męce.

A potem — ścichło, — potem jęk: — o skały  
Już się ich czaszki w bryzgi roztrzaskały;  
A lud zaciekły, zemstą rozjuszony,  
Szydził, nad jamą stojąc pochyłony:  
„Tam podostatkiem i ziemi i wody!  
Jedźcie i pijcie!“

Temistokles młody

Wystąpił z tłumu, i rzecze: „Ojcowie!  
Słuszną ponieśli karę heroldowie,  
Lecz między nami jest Grek winowajca,  
Niechaj więc ginie jak oni, jak zdrajca!  
Niech więc i tego nie ominie kara,  
Co plugawymi wyrazy barbara  
Dziś do niewoli wzywać nas się ważył.  
Ojcowie! on nam język nasz znieważył!  
On jego świętość pokalał i zbrukał,  
Na hańbę naszą słowa w nim wyszukał.  
Od kiedy przyszła z Olimpu ta mowa,  
Jeszcze tak w niej się nie wiązały słowa.  
On nierozważnie o jej męty trącił,  
I czyste źródło mowy naszej zmacił.“

A w całym tłumie jeden okrzyk słynie:

„W przepaść z nim! w przepaść! Niech ginie, niech  
[ginie!“

I ciągną Greka; — on błaga ze łzami,  
Żeby go razem nie grzebać z Persami,

Żeby nie mieszać jego wolnych kości  
 Z kośćmi sług podłych. W oznakę litości,  
 Dwaj przyjaciele i bracia najszczerzi  
 Własną mu ręką rozplatali piersi.  
 On błysnął okiem w bezmownej podzięce,  
 I umarł cicho padłszy na ich ręce.

## 4.

Z czterech stron świata ciągną się zastępy,  
 Z czterech stron świata zlatują się sępy,  
 Medy z Egiptem, Pers z Indyjanami,  
 A Artafernes i Datys wodzami.  
 Aż wicher się zrywa od wiania buńczuków,  
 I gwar powstaje od pochrzęstu łuków,  
 Od końskich kopyt ziemia poczerniała,  
 Tak wielka koni i ludzi nawała.  
 Możliwy nimi podbić cały świat ten,  
 A tam krzyk tylko: Do Aten! Do Aten!!

I mają rozkaz surowy wodzowie,  
 Żadnej ateńskiej nie przepuszczać głowie,  
 I wiele, wiele przysposobić łyków —  
 Tyle w Atenach wezmą niewolników.

Ciągną szarańczą, Z pięknego Miletu  
 Zostały jeno ogryzki szkieletu.  
 Na szyjach niowiast szczerbiły się miecze;  
 Chodzono w zakład, kto więcej wysiecze.

Naxos w płomieniach, nad nią dymy w chmurach;  
A starce z dziatwą chronią się po górach.  
Morska Eubea w perzynie osiadła;  
Harda Eretrya do ziemi przypadła;  
I cała Grecya struchlała i zbladła.

## 5.

W Atenach trwoga; lud tłumem się zbiera,  
Milczy i smutnie po sobie spoziera.  
Wierny swój naród opuścili bogi,  
I do wyboru dały mu dwie drogi:  
Łańcuch i hańba — lub śmierć i mogiła!

A jedni szepcą: „Nieprzyjaciół siła!  
Na cóż się przyda ofiara i męstwo?“  
A drudzy krzyczą: „Śmierć albo zwycięstwo!“  
Śród nich Milcyades, jak zesłannik bogów,  
Jak ona Pitya z delfickich trójnogów,  
Słowem podźwiga zwątpiałego ducha.  
Lud go otoczył — zwiesił skroń i słuca.

„Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,  
Niech sobie powróz okręci o szyję,  
Niech własną wolę na wieki okielza,  
Pan niedaleko, — niech do niego pelza!  
I tam głaskany, a potem wzgardzony,  
Niechaj na progach wybija poklony,  
Niech jak pies głodny czolga się bez końca  
Za pańską nogą, która nim potraça.

A my zostaniemy! My w nieszczęściu razem,  
Albo wytepić wrogów tem żelazem,  
Lub za najświętszą wielkich bogów wołą  
W grobie się wolni schronim przed niewołą.  
Na naszej skroni tylko z laurów wieniec,  
Lub bladeść trupia — nie wstydu rumieniec!

Wy się trwożycie tą liczbą ogromną?  
I tą przemocą, co się zda niezłomną?  
Cóż jednak znaczy taka éma motłochu,  
Wyległa z prochu, czolgająca w prochu,  
Którą do boju popędzają biczem,  
Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem?

Jakaż nad nami może mieć przewagę,  
Zgięty niewolnik, którego odwagę  
Nikt nie ocenia, co bez łez umiera,  
A gdy zwycięży, całą sławę zbiera  
Żelazna ręka, co go w bój wypycha,  
A którą prawo nie włada, lecz pycha.

A nas, nas wielkich praojców posagi,  
Do świetnych czynów wzywając, jak ongi,  
Długim szeregiem ogrodziły rynek,  
Ażeby sądzić każdy nasz uczynek,  
Aby nas gromić marmurową twarzą,  
Jeżeli wrogi ziemię ich znieważą.

A nas, nas wszystko do boju porywa,  
Kaźda piędź ziemi mogiłami żywa,

To jasne niebo, co niesie w obłoku  
 Cienie poległych, widne duszy oku,  
 I cała przeszłość, ta przeszłość wiekowa,  
 Co w swoim łonie tyle sławy chowa!

Bogowie z nami! Jedno nasze ramię  
 Tysiąc najemców zgruchoce i złamie.  
 Bogowie z nami! Oni nas prowadzą!  
 Oni nam siłę Tytanów nadadzą!  
 Niechże nas wspiera ich błogosławieństwo!"

A lud wykrzyknął: „Śmierć albo zwycięstwo!“  
 I wśród radości weselnych okrzyków  
 Posłał do Sparty i do Platejczyków  
 Prosić pomocy.

Odmówiła Sparta,  
 Bo jej zabrania święta ustaw karta,  
 Co jest wyrocznią przy wszelkim obrządku,  
 Na bój wyruszać w księżycy początku.  
 Ale Platea, nie bacząc na gwiazdy,  
 Przysłała zbrojny hufiec dzielnej jazdy.

6.

Nad Maratonem  
 Wzniosło się niebo zarzewiem czerwonym.  
 Nad Maratonem przeciągają sępy,  
 Siadły ua skałach i dziób ostrzą tępy.

Bijąc skrzydłami niecierpliwie kraczą,  
Rychło też ścierwo na polu obaczą.

A przeciw Persom stoi garstka ludzi.  
Persom się zdaje, że ich oko ludzi;  
A gdy poznali istotę zjawiska,  
Zagrzmiał w ich szykach śmiech urągowiska.  
Med pomrukuje: „Szaleni! Szaleni!  
Jeden na tysiąc! my niezwyciężeni!“

Greccy wieszczkowie dobrą wróżbę głoszą;  
I na znak dany miecze się podnoszą,  
Noga wprzód sunie, mur się tworzy z tarczy;  
Od strony Medów już milion strzał warczy,  
Już się zbliżają, już ku sobie biegną,  
Szczęk, jęk, kurzawa...

Niech ich bogi strzegą!

7.

W Atenach pusto. Kto mógł miecz podźwignąć,  
Już ojca swego w boju chciał wyścignąć.  
W nagłej potrzebie dla kraju posługi  
Rzucano skarby, warsztaty i pługi;  
Nawet swych mędrców uczniowie odbiegli,  
I za kraj może w tej chwili polegli.  
I każdy ziszczał nie słowem, lecz czynem,  
Że niewyrodnym był ojczyzny synem.



W Atenach pusto. Śród obszaru miasta  
Pozostał starzec, ślepiec i niewiasta.  
A kto mógł, patrzył w trwożnym niepokoju  
Czy nie obaczy co od strony boju.  
Nic, nic nie widać. I słońce zagasło,  
I gwiazdy.... Cyt — cyt — coś w pobliżu wrzasło....  
Prędkimi kroki ktoś po bruku bije,  
I woła: „Tchu! Tchu! Głosu! Grecya.... żyje!  
Cześć! Cześć! Milcyades!... Tchu!... Zwycięstwo  
[z nami!“

Kobiety z domów wyszły z pochodniami....  
Z gałązką lauru Grek ulicą bieżył,  
I padł, wołając: „Zwy — cięstwo!“ — Już nie żył.  
A lud się ciśnie, podnosi mu głowę,  
Rozrywa zbroję: — całe ciało zdrowe!  
Ni śladu rany.

## 8.

## Na pobojowisku

Po całodziennem morderczem igrzysku,  
Po krwawym trudzie, po stoczonej wojnie  
Tysiące ludu usnęły spokojnie.  
Grecy z Persami, na jednym posłaniu,  
Leżą bez gniewu w wiecznym pobrataniu.  
A przy nich kruki skaczą i godują,  
I schryplym głosem braci swych zwołują.

Z jednego Greka kruk ciało wrywa,  
Grek konający tak do niego śpiewa:

„O szarp, szarp serce, niech już zaumiera!  
O pij, pij kruk, krew to bohater!  
Szarp, pij, a dziób twój jak ramię urośnie!“

Niewiasty greckie śpiewają żałośnie,  
Nad każdym trupem chylą się z kagańcem,  
Czy okrytego nieprzyjaciół szansem,  
Nie ujrzą ojca, kochanka lub męża!...

Wschodzący księżyc bije w lustr oręza;  
To Sparta idzie — obaczyć ciekawa,  
Gdzie się toczyła Aten walka krwawa,  
Gdzie Med okrutny, co swe straszne imię  
Obwieszczał Grekom w krwi, w pożarów dymie,  
Teraz bezwładny snem spokojnym drzymie.

r. 1844.

## USTĘP Z POWIEŚCI SYBIRSKIEJ.

**M** strony, gdzie imię Polski tak się zetrze,  
Że jest na sercach plamą nie wyrazem,  
A dusze ludzkie w omglone powietrze  
Już się nie wznoszą, by choć latać razem —  
Tam Bóg posyła swego męczennika  
I jak chorągiew złotą go zatyka,  
Aby szumiała ogniowym szelestem  
Nad głową śpiących: Kto ze mną? bo jestem  
Aby na naród przez ten znak widzialny  
Zlewał się hojnie duch sakramentalny,  
A on swe skrzydła bolesne rozszerzył,  
Chwiał się na falach własnej krwi — i wierzył!

A jeśli blask on i ten głos, co woła,  
Na marmurowe tylko padnie czoła,  
To żeby duchów niewidzialne twarze,  
Płoszone z nieba o ojczyznę trwogą,  
Mogły odpocząć na takim sztandarze,  
Kiedy na sercach swych synów nie mogą.

## On wrócił z Sybiru!

A iskrzy dotąd młodości zarzewiem,  
I mniej ma w licu żałobnego kiru  
Niżli to dziecię, które pod modrzewiem  
Na progu domu siedząc, główkę składa,  
Smutne tym cieniem, co na nie z drzew pada.  
A oczy jego jasne, błogie, święte,  
Jakby już ręką aniołów dotknięte,  
Lub dotąd na nich świeciła pozłota  
Z tych gwiazd polarnych, przez które on biedny,  
Jak przez wiodące do ojczyzny wrota,  
Latał do Polski po oddech powszedny,  
I pełen szumu ojczystej topoli  
Wracał i żył nim na ziemi niewoli.

Z czoła niebieska biła mu powaga,  
Z ust jego prawda ostra choć nie naga,  
Bo prawie zawsze mówiący z zapalem  
Słonił ją mimo chęci ideałem;  
Ta poetyczność była w jego duchu,  
Nie jak u innych chełpliwa, nieszczerza,  
Co za słuchaczem chętnie się obciera  
I sama zwiędłe wije sobie wieńce.  
W zwykłym obejściu i w głosie i w ruchu  
Zachował szorstkość nabytą w żołnierce,  
Pozór surowy, a w gruncie miał serce  
Wiejskiej dziewczeczki, jej łzy i rumieńce.

On Polskę naszą nie stroił wymową  
Poetów, którzy ją widzą w ozdobie

Jak Przenajświętszą, gdy stoi na globie,  
Depcząca węża swą stopą perłową,  
W tęczach, przy chórów serafińskich grzmocie ;  
Ale on widział ją w syna prostocie  
Jak błędną matkę, którą napotykał  
Na skałach lodu i ran ej dotykał,  
I po ulżenie biegał często do niej,  
I czuł jej ciepłe łzy na chłodnej skroni.  
Więc stał się w końcu jako ów najmłodszy,  
Ze siedmiu braci, syn wdowy najśladzszy,  
Mogący w stosie gorejących polan  
Konać z uśmiechem z duszą u jej kolan.

---

Brzegiem jeziora szliśmy późnym zmrokiem,  
Oba milczący w dumaniu głębokiem ;  
Żadnym powiewem niemarszczone wody  
Legły jak wielka, gładka lodu szyba,  
Na niej oczeret sklepił się w ogrodzy,  
I jedna w srebrze wyorana skiba  
Gorzała światłem: na uśpionej fali  
To księżyc długą kolumną się pali ;  
A innych więcej na grzbiecie gór błyska  
Wschodząc: to nocne pastusze ogniska.

I cisza była jednostajna wszędzie —  
Dzikiego ptactwa dawno ścichły gwary,  
Tylko samotny jeden żeglarz szary  
Oczeretowe okrażał krawędzie,

I strzegł swych braci obozy uspione  
Baczenie zwracając głowę w każdą stronę.  
Długo czekałem, by ta czata wrzasła  
I z góry znane odebrawszy hasła  
Współplemienników zbłąkane szeregi  
Do swej fortecy przyjęła w noclegi;  
Lecz nic nie rwało spokojności smętnej,  
I przeraziła mnie ta dziwna głusza,  
W której mi własna oniemiała dusza;  
Więc jak złe dziecko w fantazyi namiętnej,  
Podniosłszy bryłę ziemi wyżej głowy  
Rzuciłem w srebrny filar księżycowy.  
I wnet jak w kuźni rozogniona szyna,  
Gdy silna ręka uderzy w nią młotem,  
Tak ten słup nagłym odjęknął łoskotem,  
Chwieje się, pęka, jak wąż się przegina,  
Tysiącem iskier z łona swego sypie,  
Każda z nich leci, spada, wodę szczypie;  
Aż skacze coraz dalszemi obręczy  
Ta woda, co jak szkło rozbite brzęczy.  
I jeden drugi szuwarowy szalas  
Zwichrzył się w środku: popłoch, szelest, hałas —  
I czarne ptactwo podnosi się hurmem,  
Krzykliwe, gniewne na przerwane wczasy,  
Potem jak wojsko sprawione przed szturmem  
Wiąże się w sznurek — i poszło na lasy.

Ścichło: jam myślał o sile kamienia  
Co budzi całe jezioro z uspienia;

Wtem o me ramię oparł się towarzysz  
I spytał: Młody bracie, o czym marzysz?  
Rzekłem: Mnie jątrzy ta niema spokojność  
Jaką nasz naród obleka w niedoli,  
Każda męczarnia coraz mniej go boli,  
A po zniewadze krzykiem nie ochrypia,  
Ale się tuli w martwą bogobojność  
I w cichym płaczu jak dziecię usypia,  
I tak mu miła sumienia swoboda,  
Że śni pogodnie, błogo — jak ta woda.  
A przecież w głębi jego, niby w trumnie,  
Drży blask duchowym księżycem odbity,  
Podobny złotej na wodzie kolumnie —  
Lecz żeby naród poruszył te świty  
I je na gwiazdy w kół siebie rozpryskał,  
I z tą girlandą i leciał i błyskał,  
Trzeba go zbudzić z błękitnych omamień  
Choćby rzucając potępienia kamień!

---

On się po chwili rozłożył na darni  
W zapadnem miejscu, gdzie dąb rosochaty  
Nie wpuszczał światła niebieskiej latarni,  
Ni nocnych wiatrów — i mówił:

„Niech światy  
Gasną, jak w bitwie niecelne granaty;  
Niech wzdęte morze, złamawszy zapory,  
Przebiegnie ziemię jak koń dziki, skory;

Niech gorzej morza Dżengis-chan lub Marat  
Krwi jeziorami wygładzi ją wszędzie:  
Wierzę! że jeden zostanie Ararat  
Zielony, wzniosły — a Polska nim będzie!

Wszak nierozsądny, kto po rynkach chodzi  
I taką wiarę dla gawiedzi głosi,  
A tak czynicie wy śpiewacy młodzi —  
Żaden tej wiary w pokorze nie nosi,  
Lecz ją jak szatę godową odziewa  
I co anioły szeptają — on śpiewa!  
Gminowi zdala od wielkich tajemnic,  
Bo ich nie pojmie, nie przekroczy ciemnic,  
Ale pragnący i niesyty cudów  
Weźmie pochopność do życia bez trudów,  
I zaślimaczy się i zleniwieje  
I co wziął, synom przekaże: nadzieję!  
Toż miłszy dla mnie zgiełk szlacheckich kłótni  
Niżli prorocze granie miękkich lutni,  
Gdy przez fałszywą półanielską smętność  
Nie siłę budzi ale obojętność,  
I nieraz ludu zzwierzęconą głowę  
Niegodnie stroi w blaski Chrystusowe,  
I po łzę każdą do pyłu się zniża,  
Aby ją uczić jak ofiarę krzyża.  
Ty słusznie sarkasz, że polska kraina  
Zamiera senna bezczynnością wrogą,  
A ja ci powiem w czym jest snu przyczyna:  
Pieśń nie pieluchą ma być — lecz ostrogą!



Straszne ja rzeczy widziałem na świecie,  
Bardziej straszniejsze słyszałem powieści,  
Wszak ich smętnemu nie oddam poecie,  
Bo mi znieważy powagę ich treści;  
I takie orły ze wzrokiem surowym  
I z krwawą piersią i z głosem spiżowym,  
Co hasła boju roznoszą w piór chrzęście  
A dzieci uczą drobne ścisnąć pięście:  
On czuły śpiewak ze sztuką ubierze  
W jakieś błyskotne, tęczujące pierze,  
I może zechce, co Bóg nie przebaczy,  
Na lzy rachować u miękkich słuchaczy.

W tobie jest młodość ze siłą i zdrowiem  
I słuchać lubisz — to ja ci opowiem  
Kilka scen strasznych z mojego żywota;  
A co usłyszysz, kiedyś pieśnią zamień  
Na młot forteczny, co mury druzgota,  
Na dzwon co woła, na piorun, co wstrząsa,  
A jeśli trzeba, niech pieśń się natrząsa,  
A jeśli trzeba, niech pada jak kamień!\*

I nie zważając, żem wyciągnął ręce,  
Aby go czule uściskać w podzięce  
Za dobre rady i przyjaźne chęci,  
Powstał i zniknął w gąszczu blizkich krzaków.  
Przez chwilę słychać było szelest pręci,  
Potem trzask głuchy targanych łomaków,  
Aż wrócił zgięty, obciążony chaszczem;  
Podłożył ogień, owinał się płaszczem

I rzekł: Jam gotów — a masz czas, to słuchaj;  
Wskazał na żagiew: A czasem podmuchaj.

---

„Siedziałem w Permie rok jeden i długi,  
A powiem tobie, czas mi nie był długi;  
Bo w ciemną otchłań za mną, za wygnańcem,  
Pobożna żona poszła z dobrej woli,  
I przed cierpieniem stanęła mi szańcem,  
I weseliła jak na własnej roli.  
A żony takie li w Polsce się rodzą!  
Piękne, a więdnąc przezpaczone młodo,  
Nie jedne w Sybir za mężami chodzą,  
A nieraz z sobą i dziecieczki wiodą,  
By w obcej ziemi być ojczyzny echem  
Swoją miłością i dzieci uśmiechem.

Ulicą długą, szeroką, samotną,  
Stały mieszkania więźniów, chaty niskie;  
A były okna ich tak ziemi blizkie,  
Że całe światło zabierał przechodzień  
Jeśli szedł ścieżką mniej od drogi błotną.  
W takich to chatach, zwykle w innej codzien,  
Bywało wszyscy schodziliśmy się z wieczora,  
I jak bociany gwarzym na obłogu.  
A gdy nadejdzie rozejścia się pora,  
To długo jeszcze stoimy na progu,  
Patrzący w niebo szklane, wyiskrzzone,  
I pochyleni nad głowami dzieci

Wołamy głucho: Polsko nasza, Polsko!  
I z tem imieniem usypiają one,  
Ochrzczone wiarą ojców, łzami matek.

Wygnanie nasze było apostołską  
Misyą; tam ludzie stawali się lepsi  
I sercem czulsi i na duchu krzepisi,  
Kędy my przeszli.

Raz siedząc przy oknie,  
Puszczając myśli po tem czarnem włóknie,  
Które prząść umie więzień i wygnaniec —  
A wtem idący jakiś obszarpaniec,  
Saldat moskiewski, ten Job bez narodu,  
Co na wystawie lub na carskiej mustrze  
W niezwykłym musi okazać się lustrze,  
A wiedzie życie nędzy, wzgardy, głodu:  
Popatrzył na mnie, nagle się obrócił  
I w koło okiem niespokojnie rzucił  
I wbiegł do chaty. We drzwiach stanął prosty,  
Pozdrowił Bogiem i wpycha w zanadrze  
Rękę skośniałą; na ten ruch ja zadrzę,  
Po mojej żonie uderzyły osty,  
Sądzymy, że to posłannik z ukazem;  
A on ze szmaty rozwinąwszy pakiet  
Cicho przemawia: „Wot pismo i grosze  
Z Polszczy od waszej matuszki przynoszę“;  
Więc głośnym krzykiem odetchniemy razem  
I do Moskale biegniemy pędem rakiet.

A gdy ze Izami porwę go w ramiona,  
Na czole złożę bratni pocałunek,  
To biedny sałdat drży u mego łona,  
Chwieje się, jakby rozmarzył go trunek,  
Jakby go olśnił jakiś świat nieznany,  
Jak na obrazie piękny, malowany;  
Aż mu wypadnie z zamglonego oka  
Łza dawna, ciężka, wyrwana z głęboka,  
Wtedy to oko tak świetnie się żarzy,  
Że on widomie pięknieje na twarzy.  
Biedny! mil tysiąc niósł cudze pieniądze,  
Głodny, a zwalczał kuszające go żądze,  
Przecież o takim nie marzył przyjęciu.  
Niewolnik, wbity w rygor obelżywy,  
Choć pełnił cnotę, nie wie, że cnotliwy —  
Toż wyszlachetniał tak w polskim objęciu,  
Że wszedł jak zwierzę, a wyszedł jak człowiek,  
Poważny, śmiały, z pełną w sobie duszą,  
Zdybując ludzi już nie spuszczał powiek,  
Lecz wznosił głowę, jakby mówiąc chrobrze:  
Wbrew carskiej woli — uczyniłem dobrze!

Wiesz, jakie skutki dla niego paść muszą?  
Oto ten sałdat wnet uczuje wzgardę  
Dla swego stanu, i za pierwsze harde  
Słowo, pójdzie wleczony pod pałki —  
A gdy mu ciało poszarpią w kawałki,  
Do dawnych karbów wróci z dzikiem czołem....  
Lecz nie zapomni — że raz był aniołem!"

„Straszna to władza, gdy sumieniem włada,  
I choć nie zniszczy człowieczego ducha,  
Takim go ślepym postrachem obsiada,  
Że na jej rozkaz wzdryga się — a słucha.  
Car taką władzą ugniata lud mnogi;  
On jak pogański bóg zachmurny, srogi,  
Na swą cześć jękiem napelnia pustynie;  
Toż mimowolnie kędy okiem spocznie,  
Tam jakieś serce krwawi się widocznie;  
A kędy ręką wskaże — człowiek ginie!  
A nawet jeśli kogo umiłuje,  
Temu w przyszłości upadek gotuje.  
Więc najszczęśliwsi ci, co zdala żyją  
Od jego oka i łask i pokuszeń;  
Toż ludzie w ziemię jak krety się kryją,  
A ziemia pełna niespodzianych wzruszeń  
Z każdym dniem dalsze rozciąga podkopy,  
Aż się zachwieją nieraz carskie stopy.  
Car wie, że wiele duchów mu uciekło  
Z pod władzy — one w ukryciu się plemią,  
Lecz jak ich szukać, jak znaleźć? Pod ziemią!  
I car z powagą nosi w sobie piekło.  
Wszak nieraz nocą straże pałacowe  
Truchlejąc słyszą jego senne krzyki:  
„Tron mój! gdzie tron mój? Już są podkoptniki!“  
Już są! Wam młodym to słowo wróżbowe  
Ziści się; ujrzysz, jak te duchy zmierzchu  
Wyrzucają ziemię — i staną na wierzchu.



## PODRÓŻ PRZERWANA.

. . . . . W konnej artyleryi,  
Przy trzeciej harmacie, dziewiątej bateryi,  
Znałem porucznika; ze świata ubóstwa  
On wyniósł i w duszy przechował dwa bóstwa.  
Za młodu na Litwie, gdzieś w zaścianku leśnym  
Pokochał on srodze pannę Małgorzatę,  
I miał się już żenić — u nóg przyszłej żony  
Spoczywał tak słodko w letargu niebiesnym;  
Aż przyszła ojczyzna strapiona po ratę  
Krwi jego — więc powstał i poszedł w legiony.  
A z bitew gdy wrócił, już milej nie zastał,  
Bezkwietnym badylem grób dawny zarastał  
I krzyżyk nadpróchniał. Na świat się zachmurzył,  
Ze strzelbą i z troską w puszczech się zanurzył,  
Tam strzelał niedźwiedzie z rozpaczy -- a tużył.

Niedługo mu ciemne smakowały lasy,  
Bo młodość na jasnym, na marsowem polu  
Przepędził — z tęsknotą wspomniął na te czasy;  
I w końcu zabrawszy z sobą resztę bólu,

I z grobu garść ziemi i buklak nalewki  
Ruszył do Warszawy. Tam wojskiem Konstanty  
Na saskim dziedzińcu wygrywał kuranty;  
A więc się zaciągnął do tej pozytywki.

Warszawa w światowe bogata ponęty  
Porwała wiarusa na ślizkie swe stopnie,  
I zaraz go żądze obsiadły natręty;  
Choć oczy wbił w ziemię, by stąpać roztropnie,  
Choć wsparty pamięcią o bolesną stratę  
Potknął się i zachwiał i wpadł w samolówkę,  
Bo znowu ukochał — a kogo? harmatę!  
Na honor, nie kłamię — dwunastofuntówkę!

I patrzcie! z chmurnego wnet stał się promienny,  
Szczęśliwy; zaledwie wyblysnął świt dzienny  
Już biegł do harmaty, w koło ją obzierał,  
I chuchał i dmuchał i plamy wycierał.  
A potem błogości pełen i ochoty  
Czychał na przechodnia; kogo tylko złapał,  
Ten musiał podziwiać jej wdzięki i cnoty.  
I zaraz lawetom dał nazwę sukienki,  
Ustami zwał paszczę, czarnem oczkiem zapał,  
A całą już ochrzcił swej zmarłej panienki  
Inieniem. Jeżeli grzmi i ogniem ziele,  
Porucznik powiadał, że ona się śmieje.  
Przeciw Konstantemu zemstą się zapalił,  
Bo nigdy na rewiach jej cnót nie pochwalił;

Toż w listopadową noc przy arsenale  
Jego ukochana pierwsza się zaśmiała.  
Wielkie zachowanie miał u generała  
W następnej kampanii: strzelał doskonale.  
Często sam generał wskazał mu kolumnę  
Do zbicia — z kolumny robiła się siatka;  
On wtedy podnosząc czoło jasne, dumne,  
Wołał: Jenerale! a co Małgorzatka!?

Podczas szturmów Warszawy stał na szaniecach wolskich;  
Dwieście harmat w nie biło ze strony Moskale,  
Na Warszawę płynęła kul żelazna fala  
A traciła swój impet tonąc w piersiach polskich.  
Ach! tym piersiom posępne ciężyło przecucie —  
Jakby w nich brzmiały głosy złowieszczej Kasandry,  
Nie zwycięstwa szukano lecz śmierci i chwały;  
I pięknie lwy ginęły — narody klaskały!  
Porucznik ze swem działem na przedniej reducie  
Wysunięty — podobien był do salamandry,  
Co chwila mu ubywał towarzysz harmatni;  
A wtem działa ucichły, bębny się ozwały,  
I kiedy nieprzyjaciół zjeżone bagnety  
Szturmowym biegiem pędem na szaniec — niestety!  
Padł od ostatniej kuli kanonier ostatni.  
Sam został — lecz w poległych ducha swego przelał,  
Dziesięć mu rąk przybyło — nabijał i strzelał,  
I krwawą orał skibę każdą swoją kulą  
Na moskiewskich mundurów płaszczyźnie zielonej.  
Strasznym był! z twarzą czarną, z podartą koszulą,



Z okiem groźnem, płomiennem, z spalonemi usty,  
Z kawalkiem na zranionej głowie białej chusty  
Wiejącymi końcami na wiatr rozrzuconej;  
Strasznym był! kiedy w dymu siarczanego chmurze  
Płonącym migał lontem jak pioruną wstęgą,  
Potem rzucał z wysoka gromy, grady, burze —  
Zdawał się sprzymierzony z tajemną potęgą  
Jak zuchwały czarodziej, wzniosły opętaniec.....  
Moskale z jawnem drzeniem darli się na szaniec,  
Już blisko byli — działa nie można już nabić,  
Chyba jaszczyk zapalić albo siebie zabić —  
On nie myślał o sobie — on duszą poddaną  
Żył dla tej, którą kochał i którą się szczycił,  
Ją tylko chciał ocalić — młot i gwoźdź pochwycił,  
Uderzył raz i drugi..... wtem go rozsiekanć!

. . . . .

Otóż nasz porucznik w skutek tych miłości,  
Człowiek zwykle cichy, miał wybuchy złości;  
W jednej chwili zawrzał i kłął niedorzecznie,  
Jeśli jaką pannę kto chwalił zbytecznie  
Lub działa nie jego. Te dwa ideały  
I w sercu i w myśli tak mu się splątały,  
Że w gniewu zapale obydwóch przymioty  
Mieszał najpocieszniej. Obozowe trzpioty  
Często przy ognisku, gdzie kotła pilnował,  
(Bo porucznik także dzielnie kuchmistrzował),  
Wszczynali gawędę to o tem, o owem,  
O bitwach przebytych, o życiu pułkowem,

Aż wleźli na działa; więc jeden dowodzi,  
Że niechaj kto zechce całą armię schodzi,  
Nie znajdzie nad działo w baterji Puzyny —  
Harmatka niewielka, a pyszczek gadziny,  
Kiedy ją grającą ujrzał Bem generał,  
To skakał z radości, to ręce zacierał,  
I mówił, że inne podobne do szaret,  
Nie strzelać im w boju, lecz wozić lazaret.  
Wtem drugi przerywa: O działach, o bitwie  
Czas bajać po wojnie; wśród wojny, koledzy,  
Mnie sercem zawraca do ojcowskiej miedzy.  
Ot plotą, że piękne dziewczęta na Litwie,  
Bo Pińczuk je chwali; ach! perła niewieścia,  
To moja jedyna dziewczynka z pod Brześcia,  
Jej równej nie było i niema na świecie;  
Błysnęłaż mi w oku podobna komecie!

Aż nagle porucznik wybucha: „Młokosy!  
Półgłówki zielone, nieotarte nosy!  
(Często było gorzej), wam sądzić co piękne?  
Myślicie, że z moją porównań się złękne?  
Z Litwy była rodem, przez piekła otchłanie!  
Niewinna jak dziecko, zgrabniejsza niż łanie,  
A jaki tam zapal! a jaki kaliber!  
Mniej włosów na głowie, co ona głów zmiotła,  
By spisać ten rejestr, potrzeba sto liber —  
Do kroćset.. Tu wszystką zupę wylał z kotła.  
„Do dyabła wieczera i wasze przyjaźnie!“  
— Ależ poruczniku pofolguj... „Milcz błaznie!...

A, pardon — bezkarnie nieznoszę afrontów...  
Wyzywaj na rękę do kroćset stu lontów!“  
I odszedł — a młodzież od śmiechu się kładzie.

I wy mnie za język ciągniecie ku zwadzie;  
Cierpliwie, pokornie od godziny słucham,  
Jak mi obce ziemie, nieba wychwalacie;  
Jeśli porucznika trybem nie wybucham,  
To tylko jedynie podziękować macie,  
Że siedzę w salonie, a nie na harmacie.  
Oh! bo i ja kocham, kocham bez podziału,  
Tę ziemię wybraną, boleści i szalu,  
Tę ziemię serc miękkich wśród wichrów i lodów;  
Królowę trzech ludów, dwóch mórz, kroci grodów,  
Wyniosłą i piękną w łachmanach ubóstwa;  
Tę matkę zapartą, którą z dzieci mnóstwa  
Najwierniej kochają: żołnierze i wieszcz —  
I jeśli w swą przyszłość ona ufa jeszcze,  
To tylko dlatego, że wśród gwaru kłótni  
Dwa głosy ją krzepią: brzęk mieczów i lutni.

Jam żołnierz panowie — i kocham ją wiernie;  
Nad róże sarońskie przenoszę jej ciernie,  
Nad włoskie bakalie smaczniejsza mi rzepa:  
Przyznajcie, że piękna to miłość, choć ślepa.  
Za słupy Chrobrego kroku nie zrobiłem,  
Nie zwałąłem nogi obcej ziemi pyłem,  
Nie zbrukałem piersi obcych nieb oddechem,  
Dziewiczy wskrós jestem; patrzacie z uśmiechem?

Bierzecie zasługi moje za dziwactwo?  
Nie sądźcie przed czasem — nocelżne my ptactwo!  
I kiedy za groby poniosą nas loty,  
Bóg mi te dziwactwa policzy za cnoty;  
Wam każe w tęsknocie po gwiazdach uganiać,  
Ja będę nad moją ojczyzną się ślaniać!

Inni po Paryżach i po Neapolach,  
Ja wojażowałem po ojczystych polach  
Na koniu, przy dziale — ach, czemuż nie dłużej!  
A znam Wawer! Dęby! Grochów! Ostrołękę!  
W odmiennych zamiarach szliśmy drogą sprzeczną,  
Toż odmiennie straty ponosim z podróży:  
Oni tracą nosy, a ja tylko rękę,  
I to lewą rękę — niezgrabną, zbyteczną.

Wszak i ja kadziłem przy waszym ołtarzu,  
I jam raz serdecznie zapragnął wojażu;  
Byłem bardzo młody, w głowie mi świtało,  
Gdy mnie ta gorączka napadła — o mało  
W tych szalonych chęciach nie uległem zdrowiem,  
A jak je przerwałem, właśnie wam opowiem.

Rodziłem się w czwartym roku tego wieku;  
Świat cały grzmiał w trąby o jednym człowieku.  
On z gwiazdą na czole a bez gwiazdy w łonie,  
Zwycięzca zamętu, by nowy wnieść zamęt,  
Krwiał ziemię zalewał, nie w Boga obronie,  
Lecz tylko dla sławy, wkońcu dla zabawki.

Przed nim szła nadzieja, a za nim szedł lament;  
Z tych ogniów ofiarnych co zostało? — Zgliszcze!  
Z hekatomb kto zysk miał, kto? — Kruki i kawki!  
Indyjskie na wielkim rydwanie bożyszczce,  
Bez duszny poświęceń czystych poniewierca,  
On jechał w tryumfie przez wierzące serca,  
Pokłady ciał ludzkich gruchotał zuchwały,  
Aż spoczął na skale ten olbrzym ze skały.  
Oh! grzeszna, poddańcza ślepoto pogańska!  
Co gardzisz pokorą, każdą pychę głaskasz,  
Co siłę hołdujesz, powodzeniu klaskasz,  
Kiedyż twe sumienie zjaśni łaska Pańska?  
Kiedyż światło ujrzysz, nie w błyskaniu złotem  
Geniuszu lub sławy, lecz jedynie w enocie?  
Kiedyż siłę uznasz, nie w groźnym łoskocie,  
Lecz w cichym szeleście? — Wszak mowa nie o tem.

Oh! swoboda dziecka, to swoboda ptaka,  
Rok, czy dzień, czy chwila, kropla to jednaka;  
Ja biegam po łące, albo w piłkę zagram,  
A ten dzień mój jasny — nazywał się: Wagram!  
Raz w późnej jesieni strumień w łód się ścina,  
Ślizgam się — dzień cały mija jak godzina,  
A dzień mej radości -- zwał się: Berezyna!  
Świat czy się weseli, krwawi się, czy płacze,  
Jednako ptak śpiewa, dziecko równie skacze.  
Lecz żegnaj swobodo! rok i drugi jeszcze,  
A już mnie historia porwała w swe kleszcze;  
W cichym naszym domku jawią się wąsacze,

Ludzie różnej broni, powagi i rangi,  
Żelazne ogniwa z rozbitej falangi,  
A każdy z nich siarki dorzuca po szczypcie  
Na żar mojej duszy: ten o Saragocie,  
Ten prawi o Włoszech, tamten o Egipcie,  
Ten swój krzyż pokazał, ów odkrył swe bliźny,  
A inny zapłakał na imię ojczyzny;  
To znów, gdy rozmarzy ich księżycyca promień  
Chórem pieśń wojenną puszczają po rosie...  
Zanadto, zanadto orkanowych wrażeń  
W gorącą mą duszę dęło — buchnął płomień!

Chodziłem jak w ogniu z całą światą marzeń,  
Do nauk, do zabaw nie było ochoty,  
I ciągle mnie rwało gdzieś za sielskie ploty;  
Straciłem apetyt, sen, humor — pobladłem,  
I z łaski wąsatych moich oratorów  
Nakoniec obłożnie na zdrowiu zapadłem.  
Nieboszczyk mój ojciec kochał mnie nad życie;  
Zmartwił się nieborak, naściągał doktorów:  
„Bierzcie całe mienie, a ratujcie dziecię!”  
Doktorowie siedzą, radzą — i zwątpili;  
Zmieniają lekarstwa — gorączka nie stygnie;  
A ja ciągle jęczę i wołam w malignie:  
„Ach ja tam pojedę, tam gdzie oni byli!”  
Więc oni do ojca: „Panie — desperacya!  
Różga nie pomoże, bo mocna fiksacya —

Trza jechać.“ — Mój ojciec płazem wziął tę troskę,  
Wnet wyrobił pasport, wydzierzawił wioskę —  
I ze mną na wojaż.

Na stu koniach jadę!

Każdy dzień zarumienia moje usta blade,  
Sieje mi blask do oka i przysparza siły:  
A jedziemy rodzinnem Podolem; mogiły  
Z łona pól wstają — na nich posepny, samotny  
Siedzi orzeł, tych grobów wysłannik powrotny,  
Sprawia się z odybytego przed braćmi poselstwa.  
Gdzieś tam gdzieś przezroczysta, niewielka dąbrowa,  
Kędy mnóstwo słowików nosi się i chowa,  
A ona pełna jęków, pieśni i anielstwa  
Stoi u mogił ni to chór pogrzebnych płaczek.  
Ciągnie się łąn za łąnem, obszar za obszarem,  
Z jeziorok dolatują gwary dzikich kaczek,  
Zresztą głucho; niekiedy równia się urywa,  
Droga węzowym ruchem po kamieniach spływa  
Do rzeki, co z poważnym szumem płynie jarem.  
Jakież to ona brzegi wygniotła ciężarem  
Piętrzą się skalne ściany, a na litych skałach  
Sterczą zamków zwałiska; nieraz cichą nocą  
Rozlega się grzmot w górach jak po samopalach,  
Huk podobny taranom, gdy mury druzgocą,  
Zdaje się, że zamek wre szturmem: to arkada  
Pękła — i tym hałasem żegna świat i spada  
Do wody zapomnienia. Kiedy księżyc błądy  
Srebrnem światłem spustoszeń pozaciera ślady,

Każemy stanąć koniom, do ruin idziemy —  
Tam w zamkowym dziedzińcu siadamy na głazie,  
A ojciec mi przed duszę obraz po obrazie  
Ze starych kronik rzuca; i wówczas ten niemy,  
Ten śpiący zamek, dla mnie napelnia się wrzawą,  
Jacyś ludzie stąpają zbrojni i w żelazie,  
Inni jak w sufit mieczem biją pod murawą —  
Słyszę ich! drżący, ręką po mem czole wiodę,  
Serce mi bije głośno... Złote serce młode!

Tak w pobożnej pielgrzymce stąpający skromnie  
Po ziemi, co jak święta przemawiała do mnie,  
A zdrowszy, bo uczuciem oddychając zdrowem,  
Zwiedziłem kawał kraju. Zaraz za Tarnowem  
Mój ojciec kazał zjechać z gościńca, a właśnie  
Słońce kładło się do snu jasne, uroczyste,  
A niebo było ciche, marzące i czyste  
Jak me serce. Mazury na koniach, hałaśnie  
Krakowską ciągnąc zwrotkę, na noclegi lecą,  
W takt pieśni brzęczą kosy ostrzone na łące;  
Opodal widać siolo — nad strzechami siola  
Roztacza się mgła biała, jak skrzydła anioła,  
A nad nią blachy krzyża, jak gwiazdy wschodzące,  
A pod nią szyby chatek, jak lzy ludzkie świecą.  
Ten widok tajemniczym upoił mnie czarem,  
Gorętsza mi po żyłach przebiegła krew rwista,  
Popatrzyłem na ojca — on w tle wioski szarem  
Utopił łzawe oczy, a wyraz tak rzewny  
Miał w twarzy; chwilę jeszcze waham się niepewny,



Nagle krzyknę: To Świerczków! — „Świerczków,  
[moje dziecię,  
Tutaj twoi przodkowie mieszkali lat trzysta,  
A dziś nie wiem, kto mieszka“. — Rodzinne tradycye,  
Wszystkie, któremi ojciec młodość moją bawił,  
Wstały w mojej pamięci -- i było mi błogo,  
Jakby mnie zmarłych ojców rój pobłogosławił.

Naszem szczęściem we dworze nie było nikogo:  
Państwo, służba, ekonom — wszyscy do Krakowa.  
Pojechali — na kiermasz, jak nam kuchta prawil.  
Więc wszelaką nam wolność gospodarz zostawił:  
Chodzić, patrzeć, zaglądać — gdzie, ile się chowa  
Po zgasłych pokoleniach pamiątek i wieści,  
Co mieli tu rozkosze swoje i boleści.  
Fundacyi prapradziada stał dworzec dębowy,  
Widać że stary, lecz jak starzec czerstwy, zdrowy,  
Posiwał pleśnią wieku, nie pochylił głowy.  
A obok osłaniały tę piastową chatę  
Lipy krzywe, zgarbione, w dole mchem kosmate;  
Na jednej z nich rzezany w korze częstochowski  
Wizerunek; tuż ciągnął się wirydarz włoski —  
Dwa tylko miał po brzegach szpalery z grabiny,  
A i w tych już przestronne świeciły łysiny.  
Prawy szpaler prowadził na cmentarz aryański —  
Pagórki grobów dawno pochłonęła ziemia,  
Jednak było w powietrzu coś, coś — co oniemia  
I każe mimo woli mówić Anioł Pański.

Przodkowie moi obce przyjęli „nowinki“,  
Ojczyste zachowawszy cnoty i uczynki —  
Stąd kto w polu nie ginał, grzebał się w ogrodzie;  
Tu spali w własną ręką sadzonych drzew chłodzie,  
Wśród gwaru wnucząt, które biegają i rosną,  
Nim kiedyś unżone życiem przy nich posną.

Milczący, posepny szedł ojciec przez grzędy,  
Ja za nim — lecz moje hamował zapędy,  
Bo stawał przeczęsto; czasem czoło potarł,  
Albo się boleśnie uśmiechnął i głową  
Pokiwał, niekiedy ukradkiem łzę otarł;  
I tęskno mi było tak z myślą jałową  
Iść za nim — i dotąd jam drogę zabiegał  
I oczy ku niemu podnosił ciekawe,  
Aż mi z tych uśmiechów i z tych łez zdał sprawę.  
Więc zmrokiem, gdy dzwon się za zmarłych rozlegał,  
On mówił o zmarłych; ja znowu acaństwu:

Mój pradziad, sól w oku całemu aryaństwu,  
Bo błędy na starość odprzysiągł kacerskie,  
Pół wieku prowadził rzemiosło rycerskie;  
A mówią, że dziki był w wojnach i skory  
Na karkach bądź jakich złe spędzać humory.  
Proszącym na klęczkach pardonu nie dawał,  
Na życie bezbronnych w swej pasyi nastawał,  
Tak w mordach lubieżył, tak we krwi się pluskał,  
Że hetman go gromił: „Ej waszmość mi bredzisz.  
Zbiesiłeś się iście, zanadto krwi cedzisz“. —

On śmiał się i ręką skrwawioną wąs muskał,  
A drugą na własne pokazywał blizny;  
I w takich zabawach doczekał siwizny.  
Aż nagle zaczęło szwankować mu zdrowie,  
I kiedy już niemoc zsunęła go z siodła,  
Pożegnał swe znaki i osiadł w Świerczkowie.  
Tu czarna posępność nad nim się rozwiódła —  
On, człowiek potęgi, działania i buty,  
Bezwładny na nogi, do krzesła przykuty,  
Weselać dnie swoje żołnierską pieśń śpiewał;  
A noce nie lepsze, bo ze snu się zrywał  
I wołał i krzyczał: „Precz, precz krwawe mary!“  
Snać gorsze niż w nogach miał w duszy ciężary.

Sprowadzi anioła, kto w bolu go woła;  
Duch wznosi się wyżej, czem głębiej się zniża;  
I on potępiony, samotny i chory  
Wyjaśnił swe wnętrze blaskami pokory,  
I kazał się zanieść w święto do kościoła,  
I tam przed ołtarzem leżał znakiem krzyża —  
A potem publicznie przed tłumem gromady  
Uczył swą spowiedź splakany i blade,  
I błagał o odpust; kapłan się rozczulił,  
Pośpieszył ku niemu, do piersi go tulił;  
A gdy do wiecznego przystępował chleba,  
Przez okno w sklepieniu strzelił promień z nieba,  
Lud szlochał i śpiewał i cieszył się wiele,  
Że z panem już w jednym modli się kościele.

I po tej spowiedzi odmienił się wcale,  
Posażył klasztory, zakładał szpitale,  
I stał już u Boga widocznie przy lasce.  
W dzień nie mógł się ruszyć z krześlanego gniazda,  
Lecz kiedy wieczorna podniosła się gwiazda  
I rozległ się odgłos zadusznego dzwonu,  
Jak Łazarz zbudzony na Pańskie wołanie,  
O własnej wstał mocy i wsparty na lasce,  
Cud żywy! szedł z dworca na środek gazonu;  
Tam klękał — gwiazdziany blask pięknie go zdoił,  
I świecił do późna w swym białym żupanie,  
Do późna się modlił za tych, których pobił.

Tak plużył staruszek łagodny i święty  
W swej skrusze — i tylko nieznośne czuł wstręty  
Ku wszemu, co dawną wspominało wojnę;  
Więc w jego pancerzach koń jadał obroki,  
Gołębiom dał hełmy — i ptactwo spokojne  
Ścieliło w nich gniazda; o jakież to głębie!  
Człek krwawy, człek mordu hodował gołębie,  
Sam biały jak gołąb. Niezliczone stada  
Ciągnęły nad domem jak białe obłoki —  
Niekiedy ten obłok przechyla się, spada  
I słoni obrusem dziedziniec szeroki.

Co ranku, szeptaając ostatki pacierza,  
Wyjeżdżał pradziadek ze swego alkierza;  
Na krzesło kolistem toczyło go z pracą

Dwóch rosłych hajduków — ciężkiego był ciała —  
Przed gankiem na niego już służba czekała;  
Więc najprzód gumienny — gumienny ladaco,  
Co zawsze z niechęcią przynosił swe ziarno  
I mawiał, że zbiory przepadają marno —  
Pochmurny stał z pełnym workiem i z przetakiem;  
Tuż strzelców dwóch, w kurtach, z nabitym półha-  
[kiem —

Herbowa to szlachta, umyślnie trzymana  
Na zgubę jastrzębi, a brała od pana  
Za każdego trupa po dukacie w złocie.  
Zaledwie pradziadek wjechał swą karocą  
Przed dwór na murawę, już gołębi krocie  
Zlatują się zewsząd, nad nim się trzepocą,  
Śmielsze na ramionach siadają, na łonie,  
Aż musiał staruszek o własnej obronie  
Pomyśleć — więc krzyknie — i cała gromada  
Patrząca mu w oczy ordynkiem usiada;  
On ręką opatrzoną dorzuca jej grochu,  
Pod gradem łakoci znów wiele popłochu —  
Objeżdża swój naród, wodzi okiem bystrem  
I z jednym ze strzelców mówi jak z ministrem.  
„Na rany Chrystusa! a gdzież ów czubaty?  
Waszmoście coś darmo bierzecie dukaty —  
To boże pospółstwo! to słodka czeladka!  
Ja nad tem się trzęsę jak ojciec, jak matka...  
Ej, bądźże mi czulszym wielmożny i miły,  
Bo wtrącisz przed czasem brata do mogiły —“.

Więc strzelec donosi, że właśnie ów grucha  
Nad gniazdem samiczki, a ona go słucha —  
Stąd wolą samotność i przysmakiem gardzą;  
Tą wieścią pradziadek ucieszył się bardzo.

Nim czarne nad krajem zahuczały burze  
Powolał go Pan Bóg do światła i chwały,  
I został pochowany w Zbylitowskiej Górze;  
W zakonnej sukience złożony na marach,  
Gdy jechał w spokoju przy mnogich sztandarach,  
Sieroco gołębie nad wozem leciały.

. . . . .  
Chowano sokoła razem z gołębiami!  
Uczono go długo a wcześniej, od puchu,  
Nie latać za siolo, powolnym być w ruchu —  
Gdy poczuł moc skrzydeł — poszedł błękitami!

Choć go na mazgaja kierowano z dziecka,  
Ozwała się w dziadku krew rzutka, szlachecka;  
Jedynak, po ojcu fortunę wziął znaczną  
I jak stan przykazał żył huczno, dworaczno.  
Z korzyścią skończywszy nauki mozoły  
Przeszedł do burzliwej, sejmikowej szkoły,  
Stąd o nim mówiono, że wielka wątpliwość,  
Co miał ostrzejszego, czy szablę czy pióro,  
Bo jednym i drugim machał expédite.  
Ściągała też jego uczynna poczciwość

Z dziesięciu powiatów sprawy rozmaite;  
Przyjeżdżał brat szlachcic, wita: „Góra z górą!...“  
A resztę w siarczystym topi pocałunku,  
I wnet o procesie, o swoim frasunku,  
Aż woła ze łzami: „Radź, ratuj Stolniku!“  
Więc siedział najczęściej Stolnik — przy stoliku.

Gdy każda na Świerczków prowadziła droga,  
Schodziło mu życie jakby na sejmiku.  
Miał miłość u ludzi i łaskę u Boga,  
I ziarno w śpichlerzu i konie pod siodło,  
I żonę pobożną i synów pod wąsem,  
I wszystko jak z płotka jakoś mu się wiodło.  
Raz w liczbie niezwyklej nadlecieli bracia  
I w twarzy oblani radosnej krwi pąsem  
Krzyknęli od bramy: Hej! Konfederacya!!

Hej, konfederacya! zaszumiało w kraju —  
Od brzegów bursztylnych po brzegi Nogaju,  
Gdzie domek niewielki kord dzwoni, koń parska.  
O stosie płomienny! O ofiaro barska!  
Tyś pierwsza ku niebu powiała kadzidłem  
I odtąd my cierpim wśród woni; krwi fala  
Nie gasi tych ogniów — niech stos się dopala!  
A Feniks potężnem podniesie się skrzydłem!

Za mojej bytności, w pokrzywie a w śniedzi  
Stał jeszcze u wnijscia ogrodu piedestał,  
Lecz za dobrych czasów samotny on nie stał,

Dźwigał on Atlasa, ten znowu glob z miedzi;  
Wieśniacy, co pogan wymysłów nie znali,  
W swej złotej prostocie Ja da mem go zwali.  
We dworze u dziadka tak wrzało, jak w ulu —  
Radzono o rzeczy publicznej — o królu:  
Czy tylko pogrozić, czy detronizować;  
Więc nim w pole ruszą z chorągwią rozwianą  
Przyjętym zwyczajem manifest pisano,  
A że Moskał począł w okręgu grasować,  
Na komin — wsadzono Mazura na czatę.  
Nie kontent z tych długich pisanin — przed ganek  
Wyleciał z impetem szaraczek-mopanek,  
I w gniewie nasadził, poklepał rogatę,  
I ręce w tył złożył, wąs w górę najeżył,  
I z swoją niechęcią przed niebem się szerzył:  
„Post festa manifesta! — ja zawsze powiadam,  
Co siedzieć? co radzić? manifest przy boku!  
To sprawa tak czysta jak oko — powiadam,  
Powiadam — a oni źdźbła szukają w oku;  
Papiery na plaster, lecz wprzód ranę zadać!  
Bij wiele, mów mało; bić! bić! a nie gadać!“  
I dobył z jaszczura, i zaczął się składać,  
A idąc tak naprzód, gdy macha i hasa,  
Jak w bramę kijowską uderzył w Atlasa.  
Zhamował się szlachcic: „A co to? — powiadam —“  
Ba! patrzy: figura — figura i bania —  
Więc cofa w konfuzyi, poważnie się kłania,  
A głowę do warty zwraca na kominie:  
„Słysz chłopie! a co to za święty?“



— To Jadam!

Lecz szlachcic był w jakiejś feralnej godzinie,  
Nie slyszal; raz jeszcze powtarza pytanie —  
„To Jadam!” — z całego gardła Mazur wrzaśnie —  
Przez okno głów kilka wyglądało właśnie,  
Więc rwetes, krzyk, hałas: „Tu jadą mospanie!  
Kozacy już blisko — panowie, za szable!”  
Piorunem sejm cały w podwórze wypada,  
Gorętsi broń ostrzą i kulbaczą konie,  
Kilku patrzy w komin i Mazura bada:  
„Gdzie jada? — a wiele? — no, prędzej, mów dyable!”  
Chłopek coś tłumaczy, rękami rozkłada,  
Lecz wrzawa go głuszy — aż i ona chłonie;  
Więc rzecz się klaruje, wyjaśnia się chmura,  
I wszyscy wracają do szklanek i pióra.

Och! dzieje człowieka, i narodów dzieje  
Na dwóch tonach grają, jak dramat Szekspira;  
Jak jakaś szalona o dwu strunach lira,  
Gdy jedna wciąż płacze a druga się śmieje.  
Tym sprzecznym uczuciom jak uczynić zadość?  
Płakać jest słabością — śmiać się, często grzechem;  
Więc mędrzec idący przez świata otchłanie  
Na wszystko pogląda z łagodnym uśmiechem.  
Bo w takim uśmiechu jest smutek i radość,  
I jest dla każdego gotowe pytanie —  
Dla tych, co się śmieją: czego się śmiejecie?  
Kiedy może jutro poznacie się z łzami!

A dla tych co płaczą: i czego płaczecie?  
Kiedy jutrznia błyska i Bóg jest nad nami!

Wesoło się działo u dziadka w Świerczkowie;  
Tu kują żeleźce, tam topią ołowię,  
Z lamusu odwieczne wyciągają bronie,  
Luzaki przed domem nalamują konie.  
Bo dziadek w ofercie wyprzedzić się nie dał,  
Sanguszcze z Tarnowa dwie blizkie wsie sprzedał,  
I hufiec orężny dla kraju wystawił  
I z dwoma synami w szeregu się stawił.  
A gdy się pożegnał już z żoną i dziećmi,  
To dobył siedzący na koniu szkaplerza  
I oczy wzniósł w niebo: „O Matko! Ty świeć mi  
Nad mojem tem gniazdem“ — i palnął z moździerza  
I ruszył z kopyta.

Wojował trzy lata,  
Wskrósł przebiegł ojczyznę i borem i polem,  
Syn jeden mu poległ pod Krystynopolem;  
I późną jesienią, co liściem pomiata,  
Rozbitek, do domu wrócił jak liść zwiedły,  
Zielone nadzieje już mu się wyprzedły,  
Spowolniał, osmutniał bardzo, zwiesił głowę;  
Próżno go witają żona, dzieci zdrowe,  
Próżno przyjaciele cieszą go najszczerzi,  
On głowy stroskanej nie podniósł już z piersi;  
Otrutym był w sobie, gdy usta przyłożył  
Do naszego żółci pełnego kielicha;

Szczęśliwy, bo wkrótce do trumny się złożył,  
A twarz jego była bolesna — lecz cicha.

Kiedy już na bryczkę siadać nam wypadło,  
Nadeszła gromada z soltysami w czele,  
Między nimi jedno półwiekowe stadło,  
Któremu dziad jeszcze wyprawiał wesele.  
I wszystko do kolan ojcu się schyliło  
I zaczęło prosić: „Zostań panie z nami,  
Bo dobrze nam było z twoimi ojcami,  
Z nimi naszym oczom pół słońca ubyło;  
Zostań panie z nami, prosimy z miłością,  
Niech znów nasze ręce zejdu się na łanie,  
A głosy w kościele, a w grobie kość z kością,  
To Bóg się ucieszy; o wykup nas panio!“ —  
Łzy mojemu ojcu puściły się strugą,  
Jechaliśmy smutni; długo jeszcze, długo  
Ojciec twarz odwracał i na bok pozierał,  
I nibyto czoło ze znoju ocierał —  
Snać płakać przy synie miał sobie za zakał;  
Bystre oko dziecka — widziałem, że płakał.  
Od onego czasu, gdy nasz protoplasta,  
Towarzysz swawoli szalonego Piasta  
Z rozdziczałem sercem, w okrojnej przechwalce,  
Na Bożego sługę miecz podniósł na Skalce:  
Pogodzeni z Bogiem, pokutą obmyci,  
Sklonni są do płaczu wszyscy Szreniawici.

Rozbudzona fantazyja dziwnie we mnie grała,  
Co też to nie roila moja głowa mała!  
Raz wraz coś mi dudniło pod kołami bryczki...  
Czy znacie wy, panowie, kopalnie Wieliczki?  
Oh! was świata wędrowców prędeż niosła fala  
Gdzieś do groty błękitnej lub w jamę Fingala,  
Niż nad brzegi wiślane; dawny to grzech człeka,  
Wszystko mu milej pachnie i świeci — z daleka;  
Ale ja od młodości inny byłem zawdy,  
Blizko siebie szukałem piękności i prawdy,  
I znalazłem! — i dzisiaj chwili mego śnienia  
Nie oddałbym za wasze choć wszystkie wspomnienia.

Chociaż w czytaniu wierszy nie jestem zelantem,  
Przewodnika naszego porównałbym z Dantem:  
Blady, kościsty, wiódł nas w otchłanie podziemne.  
Ciągną się w różne strony korytarze ciemne,  
To sklepią się nad nami ogromne kościoły,  
Z których dawno uciekły światło i anioły,  
A został cud budowy, czarnoksiężski, dziki.  
Po rozległych ciemnościach snują się ogniki,  
Jedne czerwonym błyskiem wręcz się zapalają,  
Inne gasną, znów inne schodzą się i stają;  
Istne duchy piekielne, nim nas ubezpieczy  
Z tych światel dochodzący głuchy głos człowieczy.  
Nagle huk! jak gdy razem uderzą dział krocie —  
Śród migotającego lampy oświetlenia,  
Zdawało się, że wszystkie spadają sklepienia,  
Echami rozniesiony bije grzmot po grzmocie;

Z głębi pieczar wre ku nam jakiś krzyk donośny,  
Straszny, dziki, rażący, choć niby radośny,  
Postacie z bladą twarzą, po pas obnażone,  
Na kółkach niosące płomyki czerwone,  
Śmiejąc się i żelaznym wywijając drągiem,  
Tuż przemknęły i w blizkim zapadły się lochu:  
W przelęknieniu kamiennym stałem się posągiem,  
Przewodnik rzekł: piękna gra! nie szczędzono  
[prochu.

Przez cyple alp podziemnych, przez skalne rozłamy  
I długim nad przepaścią zawieszonym mostem  
Do zjeżonej kolcami dochodzimy bramy;  
Ona czarna, wiekowym zjeżona porostem  
Otwiera nam ulicę, tej każdy brzeg stromy  
Wlecze się nagi, prosto — jako miejskie domy,  
A w ich wnętrzu wśród stękań słyhać młotów kucie;  
Patrząc na te zamknięte mieszkania ponure  
W głębokiem przerażeniu strętwiało me czucie,  
Myślałem, że to duchy zaszczepione w skałę,  
Bez światła, na pokucie pędzą wieki całe  
I w szalonej rozpacz rozrębują górę.

Niby we śnie dantejskim pogrążony idę  
Kręconymi schodami to w górę, to na dół,  
W jednym miejscu na wielką trafiam piramidę,  
Lecz nie chciałem napisów czytać nędznej chwały,  
Które pewnie szydzące biesy wykowały.

Obszerniejszą przestrzenią roztacza się padół;  
Jaka smętna, jaka pełna żaloby dolina!  
Nad nią swoje całuny wieczna noc rozpina,  
A bokami na skałach szereg ogni błyska  
I ukazuje mury i baszty zamczyska.  
Nagle te ognie pełnięte wszechmocnym rozkazem  
Zerwały się jak ptaki, złączyły się razem  
I lecą przez powietrze — wnet już są nad nami...  
Jezus Maryo! w jeden straszny kłęb splełani,  
Cudotworce czy widma, ludzie czy szatani,  
Ryczą pieśni nieznane, trzęsą pochodniami  
I podnoszą się w otchłań, duchy szybkopióre...  
Jeszcze świecą, już znikli, śnać zaszli za chmurę.

Coraz dzikszym parowem, posępniejszą drogą,  
Śród pieczar, w których oczy utonąć nie mogą,  
Za wiodącym kagankiem przyszliśmy nieskoro,  
Nad czarne, żadną falą nietknięte jezioro.  
Po jego brzegach chodzą ciche, zadumane,  
Zapewne cienie, w białe płaszcze spowijane,  
Inne siedzą na głazach, same naksztalt głazów,  
Milczą i dopatrują w toni swych obrazów;  
Podobna do ciemnego ze stali zwierciadła  
Woda odbija twarze ich i prześcieradła.  
Przewodnik dał znak ręką — i wnet łódź przybiegła,  
Wsiedliśmy w nią, a ona ślizką piersią legła  
Jak wąż na szybę lodu i bez szmeru sunie;  
A mnie się wydawało przy kaganków łunie,

Ze cienie pozostałe na brzegu, ze drzeniem,  
Długiem, tęsknem powlokły za nami spojrzaniem.  
Przechyliłem się z łodzi — ot, ciekawość młoda,  
Wody usty dotknąłem — jak łza słona woda,  
Mogłem myśleć: te duchy pędzone rozpaczą  
Tu schodzą się, na brzegach siadają i płaczą.

Ciężko mi było, duszno w tym podziemnym gmachu,  
W nim jednego doznałem uczucia — przestachu;  
Jakże się ucieszyłem, kiedy nasz przewodnik  
Wskazał nam na wierzch ziemi prowadzący chodnik,  
Tam gdzie słońce, a na niem pogodny Bóg mieszka.  
Lecz wprzód jeszcze uboczna powiodła nas ścieżka  
Do białej, kryształami świecącej kaplicy;  
Jak cicho! przed ołtarzem modlą się górnicy,  
Jedna samotna lampa nad nimi się pali;  
Tu oni wizerunek sobie wyciosali  
Zbawiciela pod krzyżem upadającego —  
I często tu wbiegają pobożni prostacy  
I długo się wpatrują w męki Jedynego,  
Ile razy na siłach upadną przy pracy.  
Ja także utonąłem w modlitwie jak w Lecie,  
I lżejszy zapomniałem o podziemnym świetle,  
Pełnym nocnych przerażeń, tajemnic i grozy.  
„Szczęść Boże! w górę, w górę!“ preżą się powrozy,  
Wyciągają nas szybą; przed podróży końcem  
Serce długo w grobowym zasepione zmierzchu  
Wybiegło witać słońce — choć źle i pod słońcem.  
Raz jeszcze zaglądnąłem, stanąwszy na wierzchu,

W ten otwór, co jak paszczę tajemniczej sfingi  
Niegdyś rozwarł zaklęciem pierścień świętej Kingi.

Wątpię, czy wasze serca pukaly tak mocno,  
Gdy idąc ogrodową ścieżką, chwilą nocną,  
Do najpierwszej kochanki, co czeka w altanie,  
Garnęliście do duszy słowików śpiewanie  
I nagle bielejącą sukienkę zoczyli:  
Jak moje — kiedy ojciec siadłszy do powozu  
Powiedział: do Krakowa stąd półtory mili.  
Nasz Kraków, to jak namiot wodza wśród obozu,  
To jak ołtarz ofiarny w ojczyzny świątyni,  
Skąd płyną do nas hasła, rozkazy i siły,  
Gdzie każdy swoje śluby narodowe czyni.  
Gościńce, co doń idą, ciągle wznoszą pyły,  
Napelnione pielgrzymów jednorodną rzeszą,  
A zda się, że ruch mają, że wraz z ludźmi spieszą;  
Pobożną uroczystość ludzi niosą w oku,  
A konie z własnej woli podwajają kroku.  
Są chwile, w których pierś się człowiecza rozrasta  
I odtąd więcej wciąga uczuć i powietrza,  
A dusza w niej zamknięta lotniejsza i wietsza,  
A taką chwilę daje — widok tego miasta.  
Och! wyleciałem naprzód miłością skrzydlaty  
I na krakowskiem niebie wieszczych szukam znaków,  
Czyli gdzie nie wyblyska łuna z aureoli  
Tych zmarłych, co swą chwałą zadziwili światy...  
A w tem ostatnia góra schyla się powoli,  
Dwa kroki — i stoma wieżami wstał Kraków!



O nasza Jeruzalem! forteco duchowa!  
Trzydniowa święta trumno żywiącego słowa!  
Piękności twoje ziemskie w pył się rozsypały,  
Zamilkły po krążgankach cytry i cymbały,  
Na ołtarzach jaszczurki tanecznicze skaczą,  
Otwartych bram niewiasty pilnują i płaczą,  
Wyschły twoje strumienie miodowe i mleczne...  
A jednak wstań! tyś wielka! w tobie trwa, co wie-  
[czne,  
To co nad miody słodsze i nad mleko bielsze,  
Powstań! raduj się! odsłoń oblicze weselsze!  
Niech sztandar twej radości po wszech wieżach  
[wieje,  
Bo masz skarb, do którego nie trafiają złodzieje,  
Bastyony twoje ludzkiej urągają mocy,  
A strażę odprawują na każdym — prorocy.  
O trumno! ciebie strzegą napróżno żołdacy,  
Próżno po twoim wierzchu pelzają robacy,  
Próżno cię pajęczyna i pleśń trupia szpeci,  
Już twojego zamknięcia kończy się dzień trzeci!  
Anioł-budziiciel szumi skrzydłem niedaleko,  
Spłynie, dotknie cię stopą — i pęknie twe wieko!

\* \* \*

Kto mi określi, kto mi opieśni,  
To, co i wieczność nie prześni!  
Chwała mych ojców, dźwięki ich czynów  
Spłynęły w chór Serafinów.

Schyliłem czoło w pobożnej skrusze  
I w mury wstąpiłem grodu,  
Kędy za naród kładli swą duszę  
Opiekunowie narodu.

Sto wież tam wita słońce wschodzące,  
Wznosi hejnały pochwalne;  
Dawniej, to ręce świata grożące,  
A dziś, to ręce błagalne.

Zwiedziłem stary zamek uroczy,  
Kościoły i dawne domy,  
A w tych przybytkach przed moje oczy  
Stawał duch ojców widomy.

Myśl, co do głazów jak tynk przyległa,  
Niewyczerpana bez krańców,  
A słowo, które wylania cegła  
Przechodzi w piersi mieszkańców.

Niech nikt nie mówi, że przeszłość mglista,  
Lecz, że źrenica nie czysta;  
Niech nikt nie mówi, że kamień niemy.  
Lecz że nie wszyscy słyszymy.

Ze czcią nie w jedną zajrzałem trumnę:  
Czoła pogodne, rozumne,  
Dłoń na żelazie oparta chrobrem,  
Serce aniołów pod ziobrem.

Z jakim uczuciem konali starzy  
Na ich obliczach się znaczy:

Jasna powaga patrzy im z twarzy,  
A gdy ból — to bez rozpaczy.

W dzisiejszych trumnach jaka namiętność,  
Jakie niespokojne śnienie!  
Często głupota i obojętność,  
A gdy ból — to i zwątpienie.

Hej! inny żywot tamci pędzili,  
Żywot świąteczny, wesoły,  
Sprawiali uczty, za kraj się bili  
I budowali kościoły.

I w tych kościołach śpią teraz błogo,  
W rajskie ubrani uśmiechy,  
Bo ziemia wielbi ich pamięć drogą,  
A Bóg przebaczył im grzechy.

Zółciąby zaszło serce anioła,  
Zgrozaby siadła śród czoła,  
Dłouby pomknęła do karabeli,  
Gdyby nas nędznych ujrzeli!

Kto mi określi, kto mi opieśni  
To, co i wieczność nie prześni;  
Chwała mych ojców dźwięki ich czynów  
Spływały w chór Serafinów.

Zdobyć się daje wiara wielmożna  
Sercem dziecięcym, prostaczem,  
A ojców z grobu wywołać można  
Jedynie synowskim płaczem.

Jam ich wywołał! i wszyscy razem,  
 Wszyscy stanęli przelewną;  
 Jak z relikwiami, z tym ich obrazem  
 Chodzę i żegnam moc ciemną.

I więcej wieszce, twórczej żaloby,  
 Więcej duchowej potęgi,  
 Dały mi w ówczas mury i groby,  
 Niż później ludzie i księgi.

Mamże wystawić skarby zdobyte,  
 Duchy wyniosłe, to smętne,  
 Świętych wesela, rany odkryte,  
 Przed .oczy, co obojętne?

Wolę je wszystkie zagrzebać w sobie,  
 Niech spoczywają, jak w grobie;  
 Z chwały i z cnoty ojców obdarci  
 Wyście ich dziejów nie warci!

\* \* \*

Może pozornie, może w chęciach stalszy,  
 Ojciec ze sobą ciągnął mnie w świat dalszy,  
 A łzami serce, mgłą zaszła mi głowa,  
 Kiedy mi wieże zniknęły Krakowa.  
 Toż choć na ulgę mój duch rozżalony,  
 Czepiał się ruin Tyńca, Lanckorony,  
 Piał się na szczyty Tatrów niebotyczne;  
 Ale gdy słupy ujrzałem graniczne,  
 I te przestrzenie dalekie a ciemne,  
 Gdzie wszystko obce, wstrętne i odjemne —

A tuż za sobą zostawiałem w krasie  
Ojczyznę, co jak matka ze mną zna się,  
Co wnet z kolebki, w lata niemowlęce,  
Biała jak anioł wiodła mnie za ręce,  
I słodkie ku mnie nachylając lica  
Oprowadzała małego dziedzica  
Po swoich skarbach i cokolwiek miała,  
Nazwała słowem i udarowała;  
To tak mej duszy zrobiło się smutno,  
Jakby mnie gwałtem kto ręką okrutną  
Od matczynego chciał oderwać łona.  
I szyję ojca ująwszy w ramiona  
Rzekłem: Mój ojcze! każ nawrócić konie,  
Nie tam nie znajdę, a co mam — uronię.  
A ojciec: „Synu, uściskać cię muszę,  
Boi się straty, kto pełną ma duszę.  
Śród pól ojczystych, kto chodzi o głodzie,  
Nie będzie syty w egipskim ogrodzie;  
Czyja pierś w własnej ojczyźnie zaskrzepła,  
I pod równikiem nie uczuje ciepła.“  
To mówiąc, moje ucałował czoło;  
Wracamy — a mnie lekko i wesoło,  
Trawkę przy drodze, liść na drzewie witam  
I w każdym liściu powitanie czytam.  
I odtąd ojciec już miał we zwyczaju  
Co roku wozić mnie po polskim kraju;  
Każdą piędź jego znam jak własne grzędy,  
Gdzie władza Polski sięgła — byłem wszędy.  
Ach! pokochałem tak ojczyznę piękną,

Że mnie się kiedyś aniołowie złączą,  
Jeśli przed nimi moja dusza wyzna,  
Że mi nad niebo miłszą jest ojczyzna.  
A moja miłość, to nie marne słowo,  
Myślą i czynem i sercem i głową,  
Mogę jej każdą chwilą życia dowieść...  
A wy panowie, czem? — Skończyłem powieść.

r. 1853.



## POGRZEB KOŚCIUSZKI.

**B**iją razem wszystkie dzwony, jak ludowe głosy,  
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,  
A nad nimi dzwon Zygmunta, żalność górująca,  
Wszystko chłonie — a to niby ojczyzna płacząca.

W cudzych stronach na tułactwie wiódł żywot w bo-  
Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści, [leści,  
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,  
Ale w trumnie, wraca w trumnie hetman ukochany!

Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,  
Chylą oczy, co żalnością zwilżyły się rosa,  
Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,  
A hen z tyłu chmura chłopstwa — ta najgłośniej  
[szłocha.

Toć to dzieci są hetmańskie — szlochająż jak dzieci!  
W tłumie kosa raclawicka podniesiona świeci,

To ich sztandar! w koło niego tłum jęcząc wykrzyka:  
„Koso nasza! choć z daleka patrz na Naczelnika!“

O, panowie! zróbcie miejsce – niech się zbliżą  
[chłopi,  
Niech tę trumnę miłowaną ich Iza szczerą skropi,  
Bo ten hetman nie holdował pysze i potędze,  
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiędze.

\*            \*            \*

I na Wawel między królów ponieśli hetmana,  
I rozwarła się świątynia złotem nabijana,  
U jej progu stanął Kmita i „Co zacz on“ pyta —  
Swój! swój! świętszy od waszeci — puszczej mości  
[Kmita!

Zaruszały się posągi — królowie umarli  
Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się wsparli  
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza,  
I spojrzaniem wniebowziętem wita towarzysza.

Długobrody król nad inych wyżej z łoża wstaje  
I przemawia: „Ja, król chłopków, rękę ci podaję,  
Wzdy obydwoj my uczcili zapomniane sługi  
I kochali lud gołębi — ja pierwszy, ty drugi!“

Już hetmana wyniesiono pod namiot rozpięty,  
Gdy ozwał się słodkim głosem doń Stanisław święty:  
„Snać ty o mnie zapomniałeś, o polskim patronie,  
Jeśli prawda, że krzyknął raz: F i n i s P o l o n i a e.“



Na to hetman: „O, mój ojczy! choć sercem przełękłem  
Zanurzałem się w boleściach — tych słów nie wy-  
[rzekłem!

Raczej z mojej biednej piersi to ojczyzna wzięła,  
Z czego wkrótce pieśń urosła: Jeszcze nie zgi-  
[nęła!“

\* \* \*

U ołtarza arcypasterz i śpiewak Sybilli  
Wznosi ręce — każda głowa na piersi się chyli,  
A w dziedzińcu korzi chłopię o głaz biją czołem,  
Oni, co gdy kościół pełny, klęczą przed kościołem.

Na ambonie krasomowca, nie kapłan natchniony,  
Krańce słówka i świecące wysyła z ambony,  
I sukmanę coś hetmańską bramuje i złoci,  
Wobec trumny coś wspomina — o carów dobroci!

Hej hetmanie! hej jedyny! całun z siebie ściągaj!  
Zwróć się twarzą do kapłana, rzeknij: „Nie urągaj!  
Patrz na lud ten, co w dziedzińcu przy twoich słów  
[chrzęście,  
Płacze za mną, modli Boga — ale ściska pięście!“

Już skończono mszę żałobną; w miłej ziemi łono,  
W miejsce, gdzie król ehciał spoczywać, hetmana  
[spuszczono;  
Poszedł zdobić tryumf wroga i na żołąd zelżywy  
Król ostatni, wiele winny, więcej nieszczęśliwy.

Ten, co kochał lud prostaczy, sam skromny od młodu,  
 Spoczął w króla katakombie — hetman, król na-  
 [rodu!

A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,  
 Chłoptwo wzniosło krzyk boleści: „Och, już go  
 [zamknęli!“

\* \* \*

„Och, już wzięli Naczelnika, och! już ty nie naszy,  
 Ciemność sklepień, blask pozłoty serca nasze stra-  
 [szy;

Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,  
 Lepiejby ci z nami leżeć na zielonych polach!

Na zielonem, czystem polu, na zielonej łące,  
 Co dnia ptakby ciebie witał i słońce wschodzące,  
 Śród upałów twej mogile cień dałyby Tatry,  
 Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.

Z białej Wisły mgła powstaje, w górze świeci słońko,  
 My czapkami tobie kłonim, z kosą idziem łąką,  
 Tybys cieszył się z jej brzęku, choć śpiący i niemy —  
 Cóż dopiero, kiedy kosy na sztorc nabijemy!“

Jeśli Pan Bóg zagniewany skryje się na niebie,  
 Łatwiej znaleźć twą mogiłę, w pomoc wezwać ciebie;  
 Trudne pisma na nagrobkach mało kto z nas czyta,  
 Dziecko wskaże na mogiłę — „A czyja to“ — spyta.“

Tak lud żali się i marzy — urywane słowa  
 Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa —  
 Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha,  
 Nagle splonął, krzyczy, biegnie — dobył iskrę z du-  
 [cha!

\*                    \*                    \*

I mogiłę wnieborosłą sypie lud serdeczny!  
 Próżnaż ona? cóż w nią schować na spoczynek wie-  
 [czny?  
 Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz-jasnowidz,  
 Lu! zatroskał się i myśli... „Hej, do Maciejowic!

Starzy ludzie pamiętają to miejsce wśród błonia,  
 Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia,  
 Więc tę ziemię krwią przesiąknął bierzcie jak sa-  
 [krament,  
 Złóżcie w urnę i mogiłę dajcie na fundament.“

Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnej pracy  
 Biegną pany i kapłany, chłopci i wojacy,  
 Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano a tłumnie,  
 Jak przekazał duch miłości — pracują rozumnie.

Miłość wiąże i umacnia — praca idzie chyżej,  
 A krakowska cała ziemia woła: „Wyżej! wyżej!  
 Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie...“  
 I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie...

\*

I urosła; już ją widzi przechodzień daleki,  
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki  
Stać jej w straży będą: Miłość i Wiara — dwie  
[służki;  
Wawel runie — a zostanie: Mogiła Kościuszki!

r. 1853.



## Objaśnienia

---

### JASNOWIDZA NIE ZWABIŁY UWODZĄCE WIEŚCI.

Jednym z najpiękniejszych rysów czystej, do jasnowidzenia podniesionej duszy Kościuszki, jest jego sąd o Napoleonie. Kiedy pół świata lechtane przez nowożytnego Cezara sławą lub nadzieją, otaczało go uwielbieniem; kiedy drugie pół rozdrażnione bojaźnią lub prześladowaniem, wrzało ku niemu nienawiścią; Kościuszko jeden, sądzia bezstronny, duch cnoty i poświęcenia, ocenił moralną stronę człowieka i wieku — pogardził nim. Napróżno wielki kuglarz, genialny samolub, to pochlebstwem, to groźbą chciał zmusić wychowawca Waszyngtona do oddania się jemu za narzędzie. Ręka despoty przyzwyczajona giąć wosk miękki, trafiła na żelazo. Więc Napoleon fałszuje w r. 1806 proklamację z podpisem Kościuszki i z tem imieniem jak z rozwiniętą chorągwią wkracza do Polski. Pod tą chorągwią stanęło w krótkim czasie kilkadziesiąt tysięcy nowego żołnierza. Kościuszko mieszkający naówczas blisko Paryża, strzeżony przez stuokiego Fonchege, nie rychło dowiedział się o tem oszustwie, a dopiero w r. 1814 był w możności umieścić po dziennikach swoją pełną oburzenia protestację.

### A HEN Z TYŁU CHMURA CHŁOPSTWA...

„Starzy wysokiej rangi wojownicy nieśli trumnę... poczem następowaly: Generalicya, senat, duchowieństwo i obywatele. Lud zamykał pochód.“ (Falkenstein).

Jeśli gdzie, to na pogrzebie Kościuszki lud powinien był mieć pocześniejsze miejsce.

### ...TYCH SŁÓW NIE WYRZEKŁEM!

Finis Poloniae, słowo straszne, złowrogie; dające uniewinić się zwątpieniem, które i najwznioślejsze duchy chwilowo przygniata, a jednak faktycznie niepodobne, aby mogło być wyrzeczone pod Macie-

jowicami przez Kościuszkę. Wiemy, że w końcu krwawej tej bitwy pozostała garstka naszych w rozsypaności szukała ocalenia. Kościuszko ucho-  
dząc na koniu, przedzierał się zaroślami i trzęsawiskiem; dognany przez  
prostych kozaków, skłuty i zrąbany, bez przytomności padł na ziemię.  
Szczegółów tych nie podaje nam żaden z Polaków, widać nie było ich  
w pobliżu; a kozacy opowiadający je przed Fersenem w obecności jeń-  
ców polskich, nie przytaczali żadnych słów upadającego Naczelnika  
Toż i Naczelnik dla określenia swej rozpaczki nie używałby obcych wy-  
razów; każdy monologiczny wykrzyk szczerego, gwałtownego uczucia  
tylko w ojczyściej wyrzywa się mowie. Zbytecznie rozszerzamy się z na-  
szymi dowodami, zwłaszcza, że chcieliśmy jedynie umieścić następu-  
jącą notę: W zbiorze Leonarda Chodźki w Paryżu, znajduje się list  
Kościuszki, w którym tenże oświadcza, iż nigdy, przy żadnej okoliczno-  
ści, przypisywanych jemu słów: *Finis Poloniae* nie wypowiedział.

## NA AMBONIE KRASOMOWCA, NIE KAPŁAN NATCHNIONY...

Tą strofą nie mieliśmy wyłącznie na myśli kaznodziei przy egze-  
kwiach Kościuszki; tem mniej chcieliśmy jemu samemu ubliżyć. Po-  
dzielał on ogólną prawie słabość tej części narodu, która rozrzutna w po-  
święceniach, nigdy nie ufala sobie, ciągle potrzebowała bożyszcz i z je-  
dną pochopnością garnęła się do Napoleona, a później do Alexandra,  
tak zwanego restauratora Polski. Imię tego kaznodziei zatailiśmy  
umyślnie w naszym rapsodzie; bojąc się jednak, aby czyjkolwiek zby-  
teczna ciekawość, odgrzebawszy to imię, nie oddała je na poniewierkę,  
sami w tem miejscu, z należnym uczczeniem wolimy je odkryć: Przy  
obchodzie pogrzebowym Kościuszki kazał ks. infułat Łańcucki, pro-  
boszcz kościoła Panny Maryi, ostatni protektor bractwa Miłosierdzia  
przez Skargę założonego, dotąd ze czcią wspomniany dobroczyńca ubo-  
gich Krakowa; umarł 29. grudnia 1811 roku.

## W MIEJSCE, GDZIE KRÓL CHCIAŁ SPOCZYWAĆ HETMAŃA SPUSZCZONO.

W roku 1783 Stanisław Poniatowski, król polski, grób ten odno-  
wiwszy, złożył w nim Jana III. zwłoki, a dla swych przeznaczył miej-  
sce, w którym dziś stoi sarkofag z Tadeusza Kościuszki zwłokami. (Mą-  
czyński.)



## KONFEDERAT.

URYWEK.

**G**uż z lasu? tak rychło? a jak tam? a co tam?  
Ou! zmarzliście widzę; ot w kącie tam macie  
Prawdziwą gdańszczankę — a dajcie relację:  
Są dziki? — „ — — — — — — — — — —  
— — — — — “ — Nie lubię konceptów niemieckich,  
Na saniach pytałem, na saniach strzeleckich;  
Lecz pono za grzechy wami się kłopotam,  
O waszem myślistwie pisano szeroko —  
Ej! żeby to nogi, a ręka, a oko,  
Sam jeszczebym w lesie pokazał, co umiem.  
„ — — — — — — — — — — — — — — — —  
— — — — — — — — — — — “ — Ah! tak, to rozumiem,  
Więc pole nieczyste, więc i szumna knieja?  
Wraz zgadłem z komina, że będzie zawieja,  
Wy ledwie za bramę, a wicher się zerwał..  
„ — — — — — — — — — — — “ — Waść mi przerwał,  
Dodać jeszcze chciałem, że w podobnym razie  
Należy pomyśleć wcześniej o nakazie,  
Aby dzikom odwrót zagrozić od Melny —  
Strzelcami obstawić linię — księżyc pełny







Do wrót twych stukając, cóż rzekłem? „Herbowy!  
 Z twym dziadem o jedną rąbałem się pannę,  
 Daj strzechę, bo zginę pod żydowską ławą!“  
 I dałeś; a cóż ja? — stary balamutnik,  
 Za młodu nicpotem — impetyk — rozrzutnik —  
 Tfu!! — „ — — — — —  
 — — — — — „ — Jak się tu nie sierdzić!  
 Gdy lampa dogasa, to knot musi śmierdzić,  
 I starość ma swoje zgryźliwe humory;  
 Wasz dzwon na prymaryę, a mój na nieszpory —  
 Wam igrać do słońca wesolo i butno,  
 A dla mnie zapada już noc — to mi smutno!  
 Po trzech pokoleniach chodzę ja w żalobie,  
 Kogo tylko sercem przypomnę — śpi w grobie!  
 Tak sunę przez groby, w mój grób -- co otwarty...

„ — — — — —  
 — — — — — „  
 Upiorem ja jestem — lubię być sam na sam;  
 Kiedy wśród cichości w kątku siądę sobie,  
 Na błonia pamięci hej! jadę i hasam,  
 Hej! myśli ze smyczy wypuszczam jak charty --  
 Tumany, wir, tentent — aż w głowie się kręci,  
 Wszystko się prześciga, przewraca, przetwarza...  
 A z takiej otchłani ratują mnie święci  
 Ci, co w kalendarzu; ja do kalendarza —  
 I patrzę: dzień taki, więc tego świętego,  
 Jest imię; więc idę na upatrzonogo —  
 I z tego imienia wnet wstaje znajomy,  
 Moje z nim koneksye, jego parentele,



Witaj moja jutrzeńko — moja i narodu!  
 Konfederacyo barska! — z twojego powodu  
 Ja starzec dziś wiośniane czuję w łonie blaski,  
 I nad narodem dotąd drży twój promień łaski,  
 Promień złoty, anielski — przewodnik -- obrońca —  
 Poczyszczyciel i prorok szczęścia — zwiastun słońca!

\*            \*            \*

Wieku olbrzymich przygód, wieku homerowy!  
 Kiedy my kładli nasze skrwawione tułowy  
 I ciała drobnych dzieci i żon piersi mleczone  
 Jak głązy nieruchome na mury forteczne,  
 Aby ten mur ojczyzny umocnić i podnieść  
 I so siłą nie można, to rozpaczą odnieść:  
 Przed zgrają barbarzyńców, co pod murem warczą,  
 Zasłonić i ocalić taką żywą tarczą  
 Świątości naszych domów i rodzinne groby.  
 Przeciw losom zawziętym, marne to sposoby!  
 My walczyli prostotą, prawdą staroświecką  
 Z bezlitosną przemocą, z chciwą zdradą grecką  
 I z zarazą, przed którą nie uchroni zbroja.  
 O Chryste! i tak legła nasza święta Troja!  
 W płon poszły nasze dzieci, domy idą w gruzy,  
 Świątynie przerobiono na brudne zamtuzy;  
 Krwią starców przywleczonych za włosy, wróg maże  
 Jeszcze resztkami ofiar dymiące ołtarze;  
 Pożarne ognie wznieca, a boskie krwią gasi...  
 Oh! wy nam nie złorzeczcie potomkowie nasi,

Dla was to syny, dla was, z okropnej pożogi  
Po gruzach i po trupach my wynieśli — bogi!

\* \* \*

Hej świecie! jak ty szybko zmieniasz barwy swoje,  
Przebrałeś się, pobiegłeś naprzód — a ja stoję.  
Jak po wielkiej powodzi, gdy opadną fale,  
Zapomniany, samotny zostałem na skale;  
Ot koncha, którą noga przechodnia potraça,  
Niby martwa, a przytkniesz do ucha — gwarząca!  
Gwarząca do spragnionych szumem dawnej fali —  
Rzucili ją -- i poszli źródła szukać dalej...

\* \* \*

Pół wieku! ledwie chwila! wszystko się zmieniło,  
Wszystko przeszło, zapadło — i jakby nie było.  
Nie powiem, żeby ongi ludzie byli lepsi,  
Ale byli otwarszi we wnętrzu i krzepszi;  
Jakieś czerstwe ich ciałom panowały duchy,  
Stąd tych ciał takie wielkie a rzetelne ruchy.  
Dzisiejszej melancholii, łez cichych nie znano,  
Kiedy ból — to ryczano z płaczu, to włos rwano —  
Kiedy gniew — to na szabli dłoń, a piorun w oku —  
Dziś nie ma tej szczerości, dziś serca w omroku,  
Półświatła i półcienia — ni dnia, ani nocy...  
Dowód-że to niezwykłej siły, czy niemocy?

\* \* \*

Konfederacya nasza — to jak wśród pożaru;  
Taki ruch, taki zamęt, tyle krzyku, gwaru.

Z tłumu zebranych ludzi wstają naczelnicy:  
Ten ma potęgę w słowie i zapal w źrenicy,  
Pomazaniec natchnienia wznosi głos monarszy --  
Ów woła, że urzędem, ów że wiekiem starszy --  
Inny krzyczy, że został większością obrany,  
Krzyżują się rozkazy, mieszają się plany,  
W tem miejscu jest, gdzieindziej niema posłuszeń-  
[stwa,  
Tu siadać na drabinach chcą według starszeństwa,  
Tam klóćąc się o wodę, rozlewają wodę...  
A przecież są w tym tłumie dusze czyste, młode!  
Patrzcie, patrzcie na tamtych, jak z twarzą surową  
Rzucają się w płomienie z rękami przed głową,  
W słupach ognia i dymu migają, ogromni  
Jak anioły zbawienia — ach! a bezprzytomni.  
Szerzy się krzyk do koła, w krzyku rozpacz wielka:  
„Ratujcie ją! tam w ogniach domu właścicielka!“  
Oni nie wiedzą o tem — z żywota ofiarą  
Poszli, aby ratować — co? — Jej odzież starą!

r. 1853.



SCENA Z DRAMATU:  
OSTATNI BUCZACCY.

---

Komnata zamkowa. Na ścianach rynsztunki. Wojewoda w kaftanie losiowym stoi z pałaszem w ręku; naprzeciw niego jeden z dworzau równie z pałaszem; obydwu w postawie do walki. Daniel cały w żelazie, w hełmie, oparty przy oknie. Bliżej Ukropek, Mogiła, Hołubowicz i dwóch doktorów: Blutigel i Konowski, w głębi liczni dworzanie i służba.

WOJEWODA.

Gotuj się wasze! a baczność — raz, dwa, trzy!

(bija się)

Patrzaj Danielu i każdy niech patrzy,  
Że dzisiaj silniej damascenką władam;  
Ej weźmie, weźmie po skórze pan Jadam.

DANIEL.

Nie źle.

UKROPEK (do Konowskiego.)

Wam chwała.

(Wojewoda wolniej macha pałaszem; widać w nim wielkie wysilenie.)

HOŁUBOWICZ (na stronie.)

Ręka mu ustaje.

WOJEWODA (w złości.)

Czy kord zaklęty!

DANIEL (na stronie.)

Serce mi się kraje.

(Biją się jezeze chwilę. wtem pałasz wylatuje wojewodzie z ręki, on bezsilny pada w duże poręczowe krzesło. Dworzanie przyskakują do doktorów.)

MOGIŁA.

I cóż wy na to?

UKROPEK.

(Chwyta obydwóch doktorów za piersi i trzęsąc nimi, krzyczy.)

Rady! rady! rady!

Dr. KONOWALSKI,

Kord zezarowany.

HOZUBOWICZ.

(wskazując na wojewodę.)

Patrzcie, jaki błady.

(Wojewoda odwraca się do ściany)

Dr. BLUTIGEL.

Jam zawsze mówił, że te egzercycye  
Ukróćą jeno wojewodzie życie;  
Kto ma sił mało, niechaj niemi skapi.

Dr. KONOWALSKI.

Wywołuj siłę, a ona wystąpi!

(Zaczyna się sprzeczka między doktorami, w tem wbiega szybko.)

JAN TWOROWSKI.

Czy się spóźniłem? jakże próba zdrowia?  
W dziedzińcu mieszczan i chłopków jak mrowia —  
W milczeniu stoją, powznosili głowy



I jako w ołtarz patrzą w mur zamkowy.  
 Kiedym przechodził, to ta czeladź biała  
 O zdrowie pańskie ze łzami pytała;  
 Chciałbym zejść do niej — jakąż dam relacyę?  
 Czy lepiej dzisiaj?

MOGIŁA.

Gorzej, panie bracie;  
 Ledwie się złożył, miecz wypuścił z dłoni  
 I upadł w krzesło.

TWOROWSKI.

Z tem nie zejdem do niej!  
 Zły ptak, co biednym smutek zapowiada.

UKROPEK.

(Długo chodząc medytował, teraz staje przed Danielem uroczyście.)

Mości Danielu, oto moja rada —  
 Plastron zagrozić: jeśli nie wyleczą  
 Do dwóch tygodni — na gałąź.

DANIEL.

Ucieczą.

UKROPEK.

Dać im obrączki.

DANIEL

Gwałt, a rzecz bezbożna —  
 Nie — tak nie można.

UKROPEK.

Szkoda, że nie można.

(Odchodzi; zwawsza kłótnia między doktorami.)

Dr. KONOWALSKI.

Dla bab szpitalnych chyba wasze leki,  
Moje dla mężów.

Dr BLUTIGEL.

Lecz nie dla kaleki...

UKROPEK (rwie się.)

Co? co? kaleki?

DANIEL

A o co tam swary?

Dr BLUTIGEL.

Wciąż hartowanie radzi pan Makary.

Dr. KONOWALSKI.

Tak jest, pałasze.

DANIEL.

Dobrze mówisz wasze,  
Nigdy choremu nie szkodzą pałasze;  
W żelazie zdrowie, co przechodzi w żyły,  
Żelazo święte — jak mi Chrystus miły,  
Dobrze waść radzisz wraz z Hipokratesem.

Dr. BLUTIGEL (głośniej.)

On Wojewodę chce zgubić z kretesem!  
Pan Wojewoda jeszcze pożyć może  
Nie jedno lato — ale trzą rogoże  
Wyrzucić z łóżka, a wyscielić puchem  
Przytem się chować w miejscu ciepłym, suchem,  
I w spokojności zupełnej.

WOJEWODA (zrywa się.)

Precz żydzie!

Dr. BLUT.GEL.

Równie się gniewu wystrzegać.

WOJEWODA (tupie nogą.)

Niech idzie!

(Dworzanie z oznakami oburzenia wyprowadzają doktora: wszyscy wychodzą, zostają tylko: Daniel przy oknie i Wojewoda w krześle.)

WOJEWODA (składa ręce.)

Chryste! Boże! Panie!

Miejże nademną, miejże zlitowanie —  
 Nie daj mi ginać tak zwolna, po trochu,  
 Ale od razu zrób ze mnie garść prochu.  
 Bo ja dąb stary! długo moje cienie  
 Dawały ludziom chłód i odpocznienie,  
 Nie żyłem sobie tylko — niechże za to  
 Śmierć od piorunu będzie mi zapłatą;  
 Jako pochodnia niech spłonę ogniście,  
 Niech mi rok rocznie nie opada liście,  
 Niech mi czerw serca nie gryzie pod korą,  
 Niech pastuszkowie w nocy, letnią porą,  
 Mem próchnem dzieci nie straszą!

DANIEL

Mój Wojewodo, tą żalością waszą  
 Nie poradzicie nic słabemu zdrowiu;  
 A żalność taka jak szabla z ołowiu:  
 Miękka i cięży.

WOJEWODA (dumając.)

Plądrują Tatary!

Całe Podole okrył obłok szary,

Czasem go łuny pożarne rozświecą,  
 I znowu ciemno; wiatry na mnie lecą!  
 Niosą popioły z domów, tentent koni,  
 Lamenta niewiast, okrzyki pogoni,  
 Czasem pogrzebne dzwonienie orężów,  
 Krótkie, urwane — i krótszy jęk mężów,  
 Potem śmiech wroga, co zwycięstwa dopiął,  
 I bluźni Bogu Polski — biada! biada!  
 Wszystkie te głosy na serce, a popiół  
 Na moje dachy osiada!

DANIEL (na stronie.)

Coraz to gorzej.

WOJEWODA (ciągle w zadumie.)

W dalekie manowce

Ciągną z powrotem już piekielni łowce —  
 Z przodu u siodeł dziewice przez łono,  
 Jak plon łowiecki nago przytroczone —  
 Za końmi, braci zbryzganych posoką,  
 Ni to psy szczwalne na powrozach wloką!  
 Oni choć ziemi już swej nie zobaczą,  
 Idą w milczeniu, nie jęczą, nie płaczą,  
 Tylko wybladłą, odwróconą twarzą  
 Mnie, mnie szukają! na mnie, na mnie skarżą!  
 Wymowna twarz ich, a słowo zabójcze:  
 „Och Wojewodo! a gdzie ty nasz ojciec?!“  
 Gdzie Wojewoda? gdzie wasz wódz orężny?...  
 On już wam na nic, on już niedołączny,  
 Stary, schorzały, w pieluchy się schował,  
 Piers nie żelazem, ale obwarował

Murem — murami wspólny los odpycha —  
 Patrzy na łuny, popiołem oddycha,  
 Wzdy sam bezpieczny...

(gwałtownie:)

Niech otworzą bramy!

Gdzie lud nasz ginie i my gardło damy!  
 Skińcie! niech wraca motłoch zyzowaty,  
 Niech pali zamek — tak jak spalił chaty!

DANIEL (żegna ręką)

W Imię najświętsze, oblędy i mary  
 Za drzwi!

(do Wojewody:)

W Podole nie weszli Tatarzy,  
 Mości Jakóbie. Słysz, mości Jakóbie,  
 To ja, Żelazny — a tego nie lubię;  
 Co tu słów marnych, i żalu i jęku,  
 Jak ongi, kiedym nosił was na rękę,  
 A zawsze mawiał nieboszczyk Starosta:  
 „Hej, mój Żelazny! śnać on nam nie sprosta,  
 Miękkie i łzawe serce wziął po matce,  
 Ciągłe mi kwili chłopiec, jak ptak w klatce.“  
 No, Bogu chwała — na wiatr poszła wróżba,  
 Zahartowała was rycerska służba,  
 Pięknie wam żywot spłynął — ostro, młodo,  
 I syn Starosty został Wojewodą;  
 Toć mu tam z serca spadł już kamień młyński,  
 Cieszy się w grobie Starosta śniatynski,  
 Bo mało dziecku ufał.

WOJEWODA (ponuro.)

Dziś się smuci.

## DANIEL.

Bo chociaż mówią, młodość się nie wróci,  
Wam się wracają lata niemowlęce.  
Cóż Wojewodo, mam cię wziąć na ręce,  
I znów jak dawniej tulić dziecko tkliwe?  
Prawda, że wasze gwiazdy nieszczęśliwe —  
Bo wstrętno długo na śmierć się sposobić.  
Życiem na łaskę u Boga zarobić,  
I krótka spowiedź przed krwawą potrzebą,  
I cios z pogańskiej ręki — ot i niebo!  
A wam zaś, mości Jakóbie, potrzeba  
Na ciepłym łożu oczekiwać nieba,  
I bez pancerza w kącie Boga chwalić,  
Podczas gdy wojną kraj może się palić —  
Srogie to fatum, srogie! — wszakże chrobrze  
Trza się z niem godzić — a płakać nie dobrze,  
Nie!

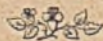
## WOJEWODA.

Tyś z żelaza.

## DANIEL.

Ba! a czy to zmaza?  
Bóg nas nie z gliny zlepił — lecz z żelaza!

r. 1855.



## WIEŚĆ O ADAMIE MICKIEWICZU.

**D**osyć jęków, niech już oczy nie płaczą, niczyje;  
Wiem i powiem — wiem co mówię: Ludu!  
[wieszcz nam żyje!

-- Tak, w swych pieśniach, w sercu naszym --  
[rzekniecie ze łzami,  
Nie! on żyje jasny, widny — tu, pomiędzy nami!

Mam ja moje wieści z nieba — a mówię to skromnie,  
Czasem do nich się podnoszę, czasem schodzą  
[do mnie;

Ale zawsze w męce ducha tylko tę moc czerpię,  
Abym stał się czystą czarą, gdy w ogniach prze-  
[cierpię.

Co wam z tego, gdy wam powiem, czemu często  
[gasnę.

A za chwilę znów mam serce prorocze i jasno —  
Kiedy śpiewam, tom głos żywy -- Martwi! po-  
[wstawajcie!

Wasze dusze rączą za mnie: — Wierźcie i słuchajcie!

\*

\*

\*

Stanął smutny w swem zmęczeniu, lecz bez żadnej  
 [zmazy,  
 Jak posłannik, gdy powróci, spełniwszy rozkazy;  
 Stanął w sukni swojej ziemskiej, z czystym blaskiem  
 [w oku,  
 Przed otwartą wielką bramą i czekał wyroku.

W bramie anioł płomienisty stojący na straży,  
 Na dwóch skrzydłach jak na falach unosi się, waży,  
 On-to anioł, co strzegł raj — już miecza nienasza,  
 Li białością swoją lśniącą grzeszników odstrasza.

I spłynęły miodne dźwięki: „Witam cię mój bracie —  
 Ileż cierni tkwi złamanych w twojej pielgrzymiej  
 [szacie —  
 A twe oko przecież jasne, choć krew z twych ran  
 cieknie...  
 Oh, jak mało tu przybywa tak ubranych pięknie!

Nie chyl powiek — niech ominie cię pokory drżenie  
 Bo od Pana mam do ciebie dobre polecenie;  
 Także od Tej, którąś wielbił, od Najświętszej Panny:  
 Tyś na polu Chrystusowem zwycięski, choć ranny!

Choć błdziłeś, lecz walczyłeś i kochałeś szczerze,  
 Lud twój biedny wychowałeś w miłości i wierze:  
 Na twem ciele ran tak wiele — a największe  
 [blizny  
 Jeszcze dotąd nie zgojone -- a te, dla ojczyzny.



Bo kto dla niej więcej znosi, ten dłuższy i starszy;  
Ty spełniłeś wyznaczony swój cel patryarszy —  
Bracia twoi tam na ziemi twoim duchem stoją,  
Twa pieśń będzie dla nich mieczem — dotąd była  
[zbroją

Toż tam cały naród w żalu płacze nad twą trumną —  
Marne to łzy i niewczesne — bądź ty Polsko dumną  
Powstał patron wiele możny, gdzie znikł słaby  
[człowiek —  
O pokorny, nie płoń czoła, nie chyl, nie chyl  
[powiek.

Wiem, że nieraz w ciemne strony burza cię uniosła,  
Wiem, że nieraz zapomniałeś o godności posła;  
O! bo młodość wielce krucha, któż nie grzeszył  
[z młodu  
Wprzód kochankiem, potem ojcem zostałeś narodu.

I jak białe dwa promienie schylił ręce obie,  
I promieniami magnetycznie ciągnął go ku sobie:  
„Wejdz w tę bramę, kędy wchodzą Wybrani  
[i Święci.“  
A on na to: „Wszak ta brama — Bramą nie-  
[pamięci!

Za żywota już to czułem, że ten Boga dopnie,  
Kto zasługą się podnosi w coraz wyższe stopnie;  
Ale o tem nie wiedziałem, że kto sługą nieba,  
O odbytem raz poselstwie zapomnieć mu trzeba.“

Więc znów anioł uśmiechnięty jak ranek pogodny:  
„Twój duch pamięć stracić musi, aby był swobodny,  
Bo go Ojciec znowu wyśle i na większe cele —  
A w naszego Ojca domu jest pomieszkań wiele!

Patrz, jak iskrzą się drobnutko nieznanie ci  
[światy —  
Zdejm twe suknie potargane, wdziejesz nowe  
[szaty.“

A on patrzy w otchłań straszna, a żal go oniemia,  
I wyszeptał: „Wskaż aniele — która moja ziemia?“

Anioł wskazał — wskazał prosto między gwiazd  
[miryady —  
Tam od pyłu między pyłem lśnił promyczek błady;  
A on poszedł za tą ręką, wpatrzył się głęboko,  
Uczuł w sercu, że niemylnie spoczęło mu oko —

I wyłonił się już cały i wyteżył ducha,  
Oczy łzami gdy mu zasły — to on słucha,  
[słucha...

Cisza była dziwnie wielka; aż mu z ust nieskoro  
Łzą wyciekło: „Tam mych sierot — tam sierot  
[sześcioro!“

I rozplynął się w czułości na ten głos ojcowski,  
Nieznający ludzkich cierpień dawny anioł Boski —  
Aż mu w cichym, drżącym głosie równie łzą  
[wycieczce:  
O anielskie wielkie serce, a czysto człowiecze!

I w znizeniu już po ziemsku mówi: „Bądź spokojny,  
Naród kocha cię i wielbi — a on szczodry, hojny,  
Nie da upaść twoim dzieciom — żyć będą bez  
[troski,  
Każdy między przyjaciółmi wśród ojczystej wioski.

A byłaby twa ojczyzna już ciebie niegodna,  
Gdyby serca dla twych dzieci nie rozwarła do dna;  
A byłbyż ten synem piekiel, ktoby śmiał zdradziecko  
Jaką chęcią nieprzychylną dotknąć twoje dziecko.

Bądź spokojny — tam dłoń matek wnet im lży  
[obetrze,  
A wprowadzi je dłoń ojców na polskie powietrze,  
Ono brzmiące twem imieniem — tonąc w tem  
[imieniu  
Będą bujać twe orlęta w ciągłym zachwyceniu.“

Tak pocieszał go — i wabi znów anioł skrzydlaty:  
„Wejdz w tę bramę — odrzuć pamięć — weźmiesz  
[nowe szaty.“

On szedł zwolna, twarz oparłszy na konfederatce —  
Odjął ręce — spojrział na nią: „To po mojej  
[matce!!

Nie aniele! ja nie mogę -- wstaw ty się do Boga —  
Jam się wszczepił w tę ojczyznę, pamięć o niej  
[droga —  
Jam zanadto na tej ziemi i kochał i bolał,  
Bym dla zysków mego ducha pamięć tracić wolał!

Za żywota tam nosilem oblicze surowe,  
 Dla poglądu po nad tłumy podnosiłem głowę,  
 Ułomności moje ludzkie słoniłem powagą:  
 Tam jak dziecko, co przed okiem ojca — leży nago.

On zna skrytość mojej duszy, widne mu jej głębie,  
 On, co sklepił orlem pierzem me serce gołębie,  
 On wie o mnie, o czym może nie wiedziała rzesza,  
 Że prócz błysków mojąszowych — mam serce  
 [Mojżesza-

Serce miękkie i krwi pełne, co miłości żąda,  
 Co za swemi pamiątkami dotąd się ogląda,  
 Co jęczało pod pancerzem, krwawiło się z cicha,  
 Gdy w ten pancerz uderzały nizka złość i pycha.

To nie mogę ja zapomnieć, wyrzec się żywota  
 I tych braci, których wiodła moja lutnia złota,  
 Bom zostawił ich w strapieniu, a wielu w obłędzie,  
 I drzę cały i wciąż pytam: co tam z nimi będzie?

Nie chcę błdzić, nie chcę sądzić, mój stróżu przed-  
 [niebny,

Ale, jakby mi się zdało, że ja im potrzebny,  
 Żem ich prawie osierocił i wcześniej porzucił...  
 O aniele, módl się ze mną, abym do nich wrócił.

Duchem cały zbłękitniały chciałbym wśród nich latać,  
 Tu podnosić pogiębionych — tam zwaśnionych bratać;  
 Dwojgiem skrzydeł połączyłbym dalekie, a blizkie:  
 Jednem kryjąc dwory białe, drugim chaty niskie.

Często pójdę do pieśniarzy, między moją dziatwę —  
Tym, co serce mają czyste, dam natchnienie łatwe,  
Aby burzę, gdy na niebie zaluczy ponurem,  
Niby dzwonkiem loretańskim rozpędzali — chórem!

A w męczeństwie jeśli padnie kto z braci — o Boże!  
Ja na skronie okrwawione koronę mu włożę,  
I na ręce wezmę drżące i w niebo odniosę  
Zwiędły ten kwiat i złamany — na słońce, na rosę.

Zwano mnie aniołem pieśni wśród mego zawodu —  
Pozwól Panie, abym został aniołem narodu;  
A w Twem oku gdy dla niego ujrzę szczęścia  
wróżbę —

Oh! promienny i ochotny wrócę na Twą służbę.

Ty wiesz Boże, co tam jeszcze w mojej duszy płacze:  
Czy już nigdy mej ojczyzny, nigdyż nie obaczę?!  
Wszak okryty Twoją łaską, w Twych natchnieniach  
[bogactwie,  
Przez ćwierć wieku ja tęskniłem do niej na tułactwie.

A ufałem ja tak mocno, że na starość może,  
Na zieleni własnej ziemi na wznak się położę,  
I nad sobą słyszeć będę skargę w gwarze sosen,  
Żem daleko od nich spędził tyle w życiu wiosen.

Śpiewającą skargę matki mają tylko drzewa  
Mej ojczyzny. Ach! z mej trumny taki głos nie  
[śpiewa —

Z obcych jodeł brano do niej głuche, zimne deski...  
O, wysłuchaj mego jęku Ojczy mój niebieski!"

I na równi z kolanami pochylił się czołem,  
Przed nim klęczał biały anioł i modlił się społem.

Te schylone dwie postacie ujął w swoje ramy  
Sklep arkady; a w dalekich głębiach jasnej bramy  
Migająco przebiegały tajemnicze błyski:  
Znak, że słucha ich modlitwy Bóg, co zawsze blizki

Gdy ich dusze ukorzone silniej się zapala,  
To tam z głębi światło bucha, oblewa ich falą —  
Wtedy słycać szumy skrzydeł: to ciche, milczące,  
Przyciągnięte blaskiem Bożym anioły lecące.

Jakby wiedząc, że modlitwa ta i za nim prosi,  
Tam w otchłani jeden z globów drży na swojej osi,  
Żywiej płonie, rwie się naprzód do tych dwóch  
[postaci...

Lecz go z toru nie wypuszcza siła starszej braci.

Jeszcze klęczał wieszcz schylony, gdy już nad nim  
[cicha,

Promieniująca twarz anioła słodko się uśmiecha —  
Ten rzekł: „Powstań! Ojciec dobry przyjął twe  
modlitwy —

Lec aniołem! — gdzie polecisz“? —

— „Ach! najprzód do Litwy!!“

Tyle dla nich. Teraz głos mój podnoszę do ciebie,  
Mistrzu pieśni! stróżu ludu! patronie w potrzebie!  
Ja, com patrzył w twoje oczy — może tobie słodszy,  
Bom z twych braci najuboższy i twój brat naj-  
[młodszy

Duszą lotny a dziecięcy, w troskach nieudolny,  
Lecz na polu walk duchowych niezłamany, wolny —  
Popatrz na mnie — lecąc blisko, wstąp pod moją  
strzechę,  
Rzuć mi słowo przyjacielskie na moc i pociechę.

Anioł-stróż mój, ten o tobie przynosił mi wieści —  
Ty o innym daj wiadomość równie drogiej treści;  
Powiedz o nim — bo jednako jam was kochał obu,  
A boleść po waszej stracie poniosę do grobu.

Powiedz! czy tam na błękitach, gdzie miłość rozlana,  
Nie zdybałeś ognistego śpiewaka Kordyana?  
Czy on zawsze niespokojny, samotny i smutny —  
Czy już, jak ty duch swobodny, czy jeszcze pokutny?

A w zdybaniu jakim okiem on ku tobie błysnął?  
Czyś wyciągnął doń ramiona? na szyi uwisnął,  
Aby splukać we łzach wspólnych przedgrobne  
niechęci?.

Czy on z nami? czy już przeszedł Bramę nie-  
[pamięci?

Przeszedł chmurny, bolejący, głowę słońcąc połą,  
Aby ukryć w fałdach płaszcza swoje nagie czoło

Próżne wieńca, który ledwie upadł mu na trumnę...  
Geniusz blasków! duch Tytana! serce wielkie, dumne!

Siewacz skarbów, ciskający klejnoty przed siebie!  
Kto je zbierał? kiedyż naród te skarby wygrzebie?  
Kto z miłością za nim wodził okiem do ostatka? —  
Tylko młodych uczniów kilku, tylko stara matka!

Gdybyż jeszcze na swej ziemi, bez chwały hałasów,  
Przysłuchując się do woli głosom pól i lasów,  
Mógł je obrać za słuchaczów, a one oddźwiękły —  
Toby jemu struny serca tak wczesnie nie pękły.

O! szczęśliwszym ja od niego, bo te głosy słyszę,  
Niedbający o poklaski lubię wiejską ciszę;  
A choć wzleczę rozbujały, namiętny, omamion —  
Łatwo ściąga mnie z obłoków drogich parę ramion.

Wzdy, mój mistrzu, wielostrunne daj mi tve na-  
[rzędzie,  
A choć ono długiej sławy dla mnie nie zdobędzie,  
Byle tylko z twoją wiarą brzmiało, choć nie z siłą —  
Dogoni mnie miłość ludu przed lub za mogiłą.

A w szeregu tych strun wielu jeśli się zagmatwę,  
To przybywaj ku pomocy, daj „natchnienie łatwe“,  
Jakoś przyrzekł przed aniołem — bo mam serce „czyste“  
kadzidłem wciąż płonące, — szklane, przeźroczyste.

Daj mi lutnię swą sierocą — ja jej nie ubliżę —  
Jeśli ciężka — nieść ja będę tak, jak niosą krzyże;



Pieśnią będę błogosławić, a nikogo kąsac,  
Złych gniesć będę, obojętnych za wnętrzości  
[wstrząsać.

A tak idąc z twoją lutnią przez zasadzki zdradne,  
Gdy na „polu Chrystusowem“ w ciężkiej walce  
[padnę —  
Podejm, mistrzu, moje czoło zwiędnięte, bezwłose,  
I odnieś mnie w „drżących rękach — na słońce,  
[na rosę!“

r. 1856.



## PO LATACH OŚMNASTU.

(Rzecz z r. 1848.)

### I.

**P**worek biały, pochyły, drewniany,  
Kolo niego topole we wianku,  
W wieczór letni zachodem różany,  
Siedzą cztery osoby na ganku.  
Sadem miga Szreniawa, zawile  
Nad nią wierzby i chmiele obwisły,  
A Szreniawa stąd płynie do Wisły,  
A zaś Wisła, ta tylko o milę.

Ganek duży, po rogach dwie ławki,  
Dawniej miejsce dzieciom do zabawki,  
Tu z prośbami przychodzą wieśniacy,  
Tu do ziarna zlatują się ptacy.  
A na jednej z tych ławek, tam siedzi  
W czarnej sukni poważna staruszka,  
Z twarzą jasną, jakby po spowiedzi:  
Pani domu; na ziemi poduszka,  
Pewnie ręką jej córki robiona,  
Teraz matce pod nogi wsuniona.  
Przy niej bokiem pułkownik od straży  
Pogranicznej, kask blaszany waży,  
Targa kite włosienną przy kasku,  
I ostrogą coś kreśli na piasku.

A na ławce przeciwnej: to córka  
Na jej czole ciemna bolu chmurka,  
Na jej twarzy niedawnych łez ślady,  
Obok jakiś młodzieniec, a blady,  
A oboje tak jakby dobrani,  
Młodzi, piękni — może zakochani.  
I ci mileżą.

Tam zaś stary żołnierz  
Ciągłe targa kité, skręca kołnierz,  
Oczy w dół, trze czoło, oddech łowi,  
Ciężko westchnął i cicho tak mówi:  
— „Pani matko! skłońcie miłościwie  
Ucho dla mnie. No, ja sam się dziwię  
Czemu do was nie śmię podnieść powiek.  
Wot ja moskał, pies na carskiej sforze,  
Wot ja waszej ojczyzny morderca...  
Wierzcie matko, żem ja nie zły człowiek;  
Dawno mógłbym zostać generałem,  
Gdybym psem był jak inni — nie chciałem!  
Pomiłujcie, błagam was w pokorze —  
Córka wasza wpadła mi do serca,  
Ginę za nią. Jam was Lachów kochał!  
Kiedym szedł na Warszawę, tom szłochał  
Jak w tej chwili. Bóg niech będzie świadkiem!  
Jeśli na nią popatrzę ukradkiem,  
To z pamięci car, Bóg, wszystko znika,  
Tylko ona jedna wskrós przenika,

Jako słońce, gdy świeci na stepy.  
Och! ja bez niej to chodzę jak ślepy —  
Ona słońcem. Dajcie mi swą dziewczkę!  
Hej! gdyby ją wziąć na moją siwkę,  
I polecieć za Don, na me pola...  
Niech przepada car — służba — niewola!  
Dosyć ja się nasłużył carowi —  
Lat trzydzieści! ot włosy już siwe —  
Mógłbym jeszcze mieć życie szczęśliwe —  
Człeku w szczęściu i młodość się wznowi.  
Ot! ja czuję w mem sercu, co w płaczu,  
Żebym błyszczał jak złoto w monstrancyi.  
Chodzą gadki, że bunty we Francyi,  
Nie chcą caru już płacić haraczu,  
Car nasz butny, z wszystkimi się tuza,  
Pewnie wkrótce pójdzie na Francuza.  
Och! pozwólcie, a tu się przesiedlę,  
Przedam moich sześćdziesiąt wiorst stepów,  
I na stepach łoszaki kochane,  
W Astrachanie i w Moskwie pięć sklepów,  
I zakupię te siola tu wedle,  
I jak syn wasz — Polakiem zostanę.“

Tak mówił, lzy ścierając rękawem;  
Matka patrzy nań okiem łaskawem,  
I coś szepce mu w ucho poważnie.

A na drugiej tam ławce, tam grucha  
Cichy gołąb w popielnej sukience,

A młodzieniec twarz schylił i słucha:

— „O niedobry! — ty mówisz: odważnie!

A ja płacząc, ja cierpię, ja w męce!

Więc już dzisiaj — i może na zawsze!“

— „Nie mów dalej — rany moje krwawsze

Po twych słowach; niech się goi blizna!

Straszne słowo to słowo: Ojczyzna!

Wszystko pada, każdy węzeł pęka,

Gdy nad nami zjawi się jej ręka

Wołająca ku sobie, dla siebie!

Jabym Bogu się urwał i w niebie!

Pójdę za nią — wrócę... kocham ciebie!“

— „I dla czegoż nie czekać jak inni?“

— „Ci, co jeszcze czekają — ci winni!

Tam w Poznańskim najmłodszy synowie,

Chłopi polscy, chrzest ognia już wzięli;

Pułki stoją gotowe we Lwowie,

I hułani! biali jak anieli;

Wkrótce Francya da nam uścisk bratni,

Biada temu, kto przyjdzie ostatni,

Chyba śmiać się na wrogów pogrzebie.

Oh! pod nogą ziemia mi się pali...

Wrócę pędząc przed sobą Moskali,

Wrócę z bratem twoim... kocham ciebie!“

— „Takiś młody! — ach młodszy odemnie!

Ciebie nęca jeszcze losów ciemnie,

Serce twoje gorące a płóche

Wciąż nowego potrzebuje czaru —  
Mną miłością pobawisz się trochę,  
I zapomnisz... wśród boju, wśród gwaru.“

— „Więc przysięgam! I ty mi przysięgnij,  
Tak — nieznacznie ręką w górę sięgnij,  
Bóg niech widzi.“

— „Ten przysięgi żąda,  
Kto sam sobie nie ufa; o luby!  
Jakże wątle są nasze rachuby!  
Dusza w przyszłość z obawą pogląda,  
Bo mnie w sercu coś rwie się, coś pęka,  
Jakby jaka niewidoma ręka,  
Grozila nam.

— „Więc ty mi nie wierzysz?  
I w chwili roztania popłoch szerzysz  
W mem sercu rozdartem?!

— „Ciszej, ciszej,  
Matka patrzy, pułkownik usłyszy.“

— „No zgoda — ach! już słońce zachodzi,  
Czeka na mnie mój strzelec u łodzi,  
Tam w szuwarach wiślanych, za zamkiem;  
Ułożyłem się także z Abramkiem  
O przewóz moich rzeczy... Bądź zdrowa!  
Biedna matka i ojciec — nie wiedzą...  
Tak spokojnie w Warszawie dziś siedzą,  
Ani myślą... To słońce się chowa.

Coraz bardziej, na przekór... Bądź zdrowa!  
Nie chciałaś mnie pocałować... Boże!  
Raz jedyny, raz pierwszy, a może  
Ostatni; połóż rękę tu za mną...  
O przekłety ten Moskal nam wadzi,  
Siedzi grzybem, gdzie go los posadzi;  
Połóż rękę — pójdę drogą kłamną,  
Niby chustkę zdejmując, uklęknę,  
Pocałuję cię w rękę — gdy jęknę  
Z bólu, to chrząknij; ten pierścień mały  
Weź odemnie, noś go, on ze stali,  
On jak moja miłość wiecznotrwały....  
Tylko wiedzą, co jak ja kochali,  
Jak mi ciężko w sercu!... Mrok na niebie,  
Już odjeżdżam... Odważnie!... skinij głową,  
Bądź zdrowa! — nie ostatnie to słowo,  
Bo ostatnie zawsze: Kocham cię!

I wstał rażno, dłonią przeszedł czoło,  
I do matki zbliżył się wesoło,  
I rzekł:

— „Na czas dłuższy żegnam panią,  
Jutro jadę na kąpiele... krwawe...

— Krwawe? — spytał żołnierz.

— „Z krwi bydlęcej —

Tak lekarze radzą najgoręcej;  
Już oddawna... zdrowie moje mdlawe,

Za granicę jadę ulżyć zdrowiu,  
Za pasem... tutejszym....

Spojrzał na nią.

I odszedł; koń czekał w pogotowiu,  
I skoczył nań, ledwie dotknął siodła,  
Ona za nim długo okiem wiodła —  
On pierzchnął — podobien do człowieka,  
Co przed samym sobą gdzieś — ucieka.

2.

Wszedł na ganek stary domu sługa;  
Liberyjna na nim suknia długa,  
Jak on stara — a jej kolor dziwny;  
On sam słuszny, mocno chudy, sztywny,  
Z straszną blizną w twarzy, z której sływał,  
Bo ją dostał, gdy pan jego ginął  
Pod Grochowem. Kartacz mu ją zadał  
Gdy się chylił ku panu, co padał;  
Pół szczęki mu urwało i kawał  
Języka — drżał mówiąc o harmacie;  
Żal miał do niej po tak wielkiej stracie —  
Bo mu w gębę lazło myśli nawał,  
A nie miał go czem wypchnąć: belkotal,  
Więcej jeszcze rękami szamotał,  
Niecierpliwym będąc. Sługa taki  
Wszedł, wyszczerzył oczy, czegoś łzawe,  
Nic nie mówił, tylko jak wiatraki



Ręce puścił — i zmieniał postawę.  
Więc go pani spyta:

— „Cóż Michale?“

Poczerwieniał.

— „Tkacz przyszedł — nic wcale,  
Tkacz — nic wcale... tam siedzi na przyzbie“.

— „Czegoż płaczesz?“

— „Nic wcale... dym w izbie..  
Mam coś mówić... nic wcale“...

Ku sadu

Ręką wskazał i kiwnął na panią;  
Poszła naprzód staruszka — on za nią.

Gdy odeszli, pułkownik się zbliżył,  
Obtarł oczy bojąc się łez śladu,  
Na odwagę krótki włos najeżył,  
Bo drżał cały sercową bojaźnią,  
I wziął rękę panny i przyłożył  
Do niej usta — poczem trochę ożył.

— „O ty krasna panienko, przed tobą  
Stawam drżący jak żołdat przed kaźnią —  
U macierzy już byłem z żalobą —  
Ona iść mi kazała do panny  
Po radę“.

— „Cóż panu?“

— „Jestem ranny —

Oczki twoje zraniły mnie srodze;  
O ty jedna zagoisz me rany!  
Czy ja stary mogę być kochany?  
Powiedz!“

— „Oh — ja pana pułkownika,  
Chociaż Polka, jak ojca szanuję,  
Boś szlachetny jak mało Moskali.  
Nie miej żalu, daruj mi niebodze,  
Że to powiem, w co wierzę, co czuję.  
Ród twój, panie, zgrozą nas przenika  
Wyście naszą ojczyznę zdeptali;  
Ojciec zginął na polu — wy wiecie,  
Brat mój jeden umarł na Sybirze,  
Brat mój drugi tuła się po świecie,  
Matka moja dotąd chodzi w kirze...  
Chociaż serce twe cnoty pochwała,  
Ja!... nie mogę być żoną Moskala.  
Zresztą, miłość nie znosi nakazu!  
Czemuż tego nie mówię od razu —  
Ja nie kocham pana... nie drżij panie,  
Wiesz najlepiej, co to jest kochanie!“

— „Wot ja na to stworzony wid Boha,  
Bym jak żyłem i umarł sierotą....  
Wot, nie wstawać mi już z pod batoha,  
Serca mego nie nakarmić cnotą! —

Do psiej stawy powracaj żołdaczę!  
Próżność łaknął anielskich pokarmów...“

I zasłonił swe oczy i płacze.

Wtem od bramy, na koniu, z kozakiem,  
Konia bijąc po głowie kulakiem,  
Pędzi cwałem porucznik żandarmów;  
Gdy na ganku pułkownika zoczył,  
Zarył koniem na miejscu, zeskoczył,  
Długim krokiem przystąpił przed wschody:

— „Błahorodia!“

— „Szto tam?“

Lecz on milczy;

Włosy jego rude a wzrok wilczy,  
Kiedy w głodzie śmieje się nad kością  
Widną zdaleka. Taki jeszcze młody!  
A już w twarzy on czernieje złością,  
A na piersiach już czernieje chrestem!

— „W sprawie służby tajemnej.“

I gestem

Na panienkę wskazał.

— „Skaży — wolno.“

— „Chłop dziś w nocy przeprowiał się Wisłą,  
Przewoźnikom zapłacił rublami,  
Już zrobiłem indagacyę ścisłą —

Bo kijami.

Jednokonnym wózkiem, drogą polną,  
Przed godziną mignął się przed nami —  
Ja i trzech żandarmów za nim — solno  
Nam było — ha! dwóch z nas już nie wstanie.

— „To przemytnik.“

— „Choć w chłopskiej sukmanie,

Białe ręce widziałem — Emisar!!  
A czy na durno ten chrest dał mi car!  
Znam ja ich — poznam buntowszczyka  
Choć o milę — drugiego krzyżyka  
Zapragnałem — cha! cha! będę go miał!  
On pomyka ku lasom — a ja w cwał  
I za nim — cóż? koń padł mi na roli —  
Bez nabożów już był -- ha! to boli!  
I znikł w lesie, tu blisko... złapię go!  
Choćbym miał ten chrest własną oblać krwią,  
Złapię! — w piekło musiałby się schować —  
Albo jemu dziś, albo mnie na zgon!  
Co mam zrobić, gdy złapię?“

— „Paszoł won!

Pierwej złapać, a potem meldować,  
Bez potrzeby nie czynić alarmów.“

I odjechał porucznik żandarmów;  
I odjechał pędem, a w nos chrapie:  
— „Ho! na cara! złapię ja go — złapię!”

A pułkownik odwrócił się twarzą,  
A twarz jego zachmurzona, mglista,  
I zadumał:

— „Takich chrestem darzą?!  
A pierś moja bez chresta.... bo czysta,  
Care! care! złe bude i z nami —  
Już nam sromno zwać się Rosyanami!”

Ha! krzyk jakiś nagły, przeraźliwy,  
Krzyk okropny rozległ się po sadzie;  
Jezus Marya! cóż to?! Dziwy! dziwy!  
Matka leci, jak kiedy wiatr niesie,  
Przypadł do niej sługa — ona rwie się,  
Zębem kąsa, pierś jej bez oddechu,  
Oczy iskrzą dzikie, włos w nieładzie,  
W twarzy mnóstwo boleści i śmiechu,  
I tak biegnie na dom w obłąkaniu,  
Rwą się słowa bezładnie i w łkaniu:  
— „Tkacz! tkacz! gdzie on? Och lat osiemnaście!  
Dni, dni osiemnaście — gdzie! pokażcie!!”

I wpadła na ganek jednym skokiem,  
Wyłamała drzwi — tuż za jej krokiem  
Biegną córka, sługa -- wbiegli razem  
Odpychając się. Pułkownik głazem

Staął — chce iść — w sieni nakształt warty  
Stoi sługa, groźno o drzwi wsparty,  
Ręką trzęsie i jąka: „Nic wcale!  
Sądzę... niepotrzebni tu Moskale!“  
Wzbronił wstępu — Moskał się zawrócił,  
W osłupieniu na ławkę się rzucił.

Wewnątrz domu krzyk, łomot... to ona!  
Matka! szuka tam za kimś — szalona!  
Wpadła w alkierz, alkierz cały w mroku,  
Ale ona słońce ma w swem oku!  
Widzi: pusty! — Rwie się z objęć córki,  
Tam gdzie ciemniej, tam do tej komórki —  
Zanim wbiegła — tchem już się poznali,  
Coś niby trup do nóg jej się wali...

— „Synu! synu! mój synu! mój tkaczu!“

I w potrójnym przytłumionym płaczu  
Słowa zgłuchły. Tylko od podłogi,  
Z ust, co matce wpiły się do nogi,  
Ledwie cichy głos wznosi się łzawy:

— „Matko! umrę! wody... ze Szreniawy!“

## 3.

Zimną wodą twarz obmywszy sobie,  
W dobrą pół godzinę wyszły obie,

Jak królowe powagą dostojne,  
Choć wzruszone wewnątrz — lecz spokojne.

I do pułkownika matka rzecze:

— „Ja tu przyszłam, by przeprosić pana  
Za te sceny, które wyprawiałam.

Wiele nieszczęść miałam w mojem życiu,  
W sercu mojem tkwią bolesne miecze,  
Czasem nagle otworzy się rana,

Wtedy panie — jestem obłąkana....

Długo miałam siłę kryć — więc kryłam,  
Dziś mi trudniej trzymać to w ukryciu —  
Niech pan stanu mego nie rozgłasza...

Prawda panie, widok ten przestrasza

I walecznych tak jak pan żołnierzy...

O! przepraszam — pan się przeląkł pewnie.“

I podała ręce zimne, sine —

On je schwycił i całował rzewnie,

Jak przez popa podaną patynę.

— „Noc tak jasna — toć pan bez wieczerzy

Nie odjedziesz? — Mnie już o posłaniu

Trza pomyśleć; baw tymczasem Haniu

Pana pułkownika.“

I skłoniła

Głową i odeszła.

On milczący,

Ona drżąca — tak stali przed sobą...

Aż on:

— „No praszczajcie, Pan Bóg z tobą!  
 No praszczajcie, moja Laszko miła!  
 Z waszej Polszczy odjeżdżam płaczący,  
 Na kraj świata, het, gdzieś na Kamczatkę...  
 Pożegnajcie dobrą panią matkę...  
 Oj hołubko! nie mam do cię żalu,  
 Toż podumaj czasem — o Moskalu!“

I chciał odejść. Ona się zatrwoży,  
 Jej przeczucie mówi, ten szept boży,  
 Że to z domu przyjaciel odchodzi,  
 Co w nieszczęściu brata jej ocali.  
 Przystąpiła, usta składa mile:

— „Jeszcze wcześniej, widzi pan dobrodziej,  
 Matka chora — zostań jeszcze chwilę“.  
 I bezsilny został.

On milczący,  
 Ona drżąca, tak przed sobą stali...  
 W tem ktoś wbiega na ganek — to on sam!  
 To porucznik! — wbiegł cały iskrzący:

— „Błahorodia! Błahorodia! jest! jest!  
 W koło plotów są nasi — bude chrest!  
 Dla nas dwóch! może ranga! szczęście nam!  
 I odskoczył, jakby garścią żarów  
 Kto nań sypnął — gdy pannę zobaczył.  
 Lecz wnet ukrył zmieszania powody,  
 I znów głosem gorącym jak wprzód:  
 — „Przemytnika'm tu w lesie obsaczył,



Z powózkami prekrasnych towarów.  
 Uże on nasz, ten rudy jewrej,  
 A bogaty jak syn czorta — hej! hej!  
 Budut hroszi i ranga“.

A ona??

Do wielkiego podniosła się krzyku  
 Jej pierś — ciśnie rękoma do łona  
 Rwący się głos — i długo, grobowo,  
 Jedno tylko wyjęczała słowo,  
 Jedno słowo: panie pułkowniku!...

I bezwładna, do głębi złamana,  
 Sunie się w kąt, padła na kolana...  
 Spojrzy! za płotem świeci kask przy kasku!  
 I zakryła twarz od tego blasku,  
 Modlić się chce...

On już wie o wszystkim!

Krótką, tylko chwilę zadrżał listkiem —  
 Teraz ścisła pięście, brwi się chmurzą,  
 Burza po nich przelata za burzą,  
 Straszłą walką łamią mu się lica,  
 Zadrżał znowu: przeszła błyskawica!  
 Już spokojny.

„Chwat! chwat! Padałyca —  
 Sława pułku! — tra nam wzięty radu....  
 Pogovorim — padi... tam... do sadu“...  
 I odeszli.

A ona na ziemi  
Leży, we śnie strasznym konająca!  
Tam o kilka ścian, tam po za niemi  
Dusza w duszy zachwytem płonąca!  
Tam jej matka, radością szalona,  
Leży na szyi syna — a ona  
Leży głazem na głazie; powstać chciała,  
Oparła się rękoma — nie może!  
Modlić się chce! — rwie się myśl — nie może!  
Piersią tylko szepce: Boże! Boże!  
I tak długo trwało.

Nagle cała

Wstrząsła się — to jej dusza na zwiady  
Poszła — czuje, że jej anioł blisko,  
Rośnie w sobie — już ma skrzydła — wstała!

O słup wsparty stał on — strasznie blady,  
Nogi suną naprzód — czy tak ślizko  
Z nocnej rosy? — on za słup się chwyta.

— „Oh! co tobie?”

W dreszczu zębem zgrzyta,  
Nic nie mówi.

— „Zlituj się! co tobie?”

Zbudził mu się duch, leżący w grobie.

— „To ty? tak to wy — brat wasz bezpieczny,  
Niech ucieka!... Słyszysz ten szum rzeczny?!...  
Ja odjeżdżam“.

Bliżej przystąpiła,  
Dotknęła go.

— „Krew! krew na mundurze!  
Jezu! Co to?“

— „Co?? — to Laszko miła  
Znak, jak kocha Moskal, kiedy kocha.  
Nie, jak u was, grzecznie i po trocha.  
Miłość moją niech Bóg sądzi w górze!  
Padałcy trup płynie do Wisły...  
Ty się chwiejesz, ręce ci obwisły?  
Nie drzyj; tu — tu nic mi się nie stanie,  
Podam raport, że utonął — diengi  
Resztę zrobią“.

Ona gdzieś ucieka,  
Gdzieś bez drogi, przez trawy, po rosach,  
Z twarzą w niebo, z rękami we włosach,  
Wewnątrz skroni słychać krwi pukanie,  
Na jej czole czarne, grube pręgi,  
I tak leci!

— „Oh! tego człowieka  
Bez nagrody zostawić nie mogę!  
O ty Boże! natchnij mnie niebogę...“

Kocham Ciebie! słowu Twemu wierzę!...  
Śnie mój złoty! o! śnie mojej duszy —  
Niechaj znika, niech się w mgłę rozprószy...  
Dla mnie szczęście już tylko w ofierze“.

---

Gdy wróciła, twarz miała błyszcząca,  
Jak na piersiach bohatera zbroja —  
I za rękę wzięła go gorąco:

— „Krwawy aniele! mężu! — jam twoja.“

r. 1856.



## BŁONIA MEDYCKIE.

**J**uż jeśli trza umierać, niech umrę za młodu  
Z świeżą jeszcze pamięcią u mego narodu,  
Co przy ogniu mych pieśni chętnie się rozgrzewał  
I może powie: Szkoda! byłby jeszcze śpiewał —  
Kiedy czoło pogodne, choć nie całkiem gładkie,  
Bo troski na niem znaki popisały rzadkie,  
A oczy nim przed blaskiem wieczności omdleją  
Jeszcze świat pożegnają z miłością, z nadzieją,  
A ręka błogosławić będzie, nim opadnie,  
A usta nim strętwieją, uśmiechną się ładnie —  
O tak umrzeć! bez żadnych na ludzi zaskarżeń,  
Z piersią pełną natchnienia, z głową pełną marzeń.

Dla tego, co żył w ciszy, nie trzeba pomnika,  
Czas go kruszy a ręka ciekawa lub dzika;  
I ten, ktoby mnie zamknął do drewnianej skrzyni,  
Mnie, com więzów nie nosił — krzywdę mi uczyni.  
Niech ta ziemia kochana, ta ziemia rodzona,  
Padnie na moje piersi niby rozżalona,  
Ona miłującego ciężko nie przytłoczy,  
Miękką jak dłoń matczyna przycisnie mi oczy.

Toż tych, co tu zostaną, nie o wiele proszę,  
Z świeżo ściętych gałęzi niech uplotą nosze,  
I gdy niebo wieczorną oświeci się zorzą  
Niech zwiędłego na liście zielone położą,  
I niech mnie niosą w pole stroskani wieśniacy,  
Jak swego towarzysza, co omdlał przy pracy.

Znam ja łąkę w Medyce, znam łąkę przestronną,  
Gdzie po zimie najpierwej zielono i wonno,  
Gdzie wiatry najrzeźwiejsze, najobfitsze rosy,  
Gdzie nieraz w letnie nocy chylą się niebiosy —  
Łąka to wspólnych użyć, łąka to gromadzka;  
Tam duchów świętych ofiar odbywa się schadzka,  
Bo chodzi wieść u ludu, że dawno, przed laty,  
Stoczyły tam rozpaczny bój konfederaty,  
I chodzi wieść prorocza, wieść natchnieniem męska,  
Że stoczy się tam bitwa ostatnia, zwycięska:  
Tam mnie nieście! tam głowę złożcie pod murawą,  
Niech ta wielka nadzieja będzie moją sławą;  
Mniejsza, czy mnie pogrzebią z lamentem i krzykiem,  
Niech ta wielka nadzieja będzie mym pomnikiem!

Leżeć będę pod trawą udeptaną gładko...

O ziemio moich pieśni, o ty moja matko!

Ty, co pociech dla wiernych swych synów nie szczę-  
[dzisz,

Ty od siebie mej duszy tęsknej nieodpędzisz,

Ty to sprawisz, że ciała czyściejsza pozbyciem,

Będzie jeszcze do czasu żyć dawnem swem życiem.

Więc najprzód na te błonia, gdy słońce zagaśnie,  
Więscy chłopcy na koniach wybiegną hałaśnie,  
Pętami w ręku dzwonią i hukają w głosy....  
Tam na łanie ostatni sierp dożyna kłosy,  
Kobiety pod kopami wieniec plotą pszenney,  
Śpiewają: — pieśń, to kąpiel na trud całodzienny;  
Najpiękniejsza dziewczyna idzie strojna wieńcem,  
Z makiem w ręku i z takim jak ten mak rumieńcem;  
Przed nią sunie z fantazyą kulas, znany grajek,  
Wkoło tłum, a nad głową pląsy i krzyk czajek.  
I tak idą ze śpiewem przez błonia, przez pastwisko —  
Tu już chłopcy błyszczące zażegli ognisko,  
Ze śmiechem, z jakąś znową stoją przy nim w kupie,  
Ot i figiel — na konia, co spokojnie chrupie,  
Porwali i wsadzili grajka — ten się miota,  
Lecz go wnet ulagadza ogólna ochota.  
Brząknął w struny — ku sobie biegną jasne twarze,  
Ręka chwyta za rękę, i już wszyscy w parze —  
Grzmi taniec! w białej chmurze — bo się mgła roz-  
[ściela,  
Od kościółka dzwon głosi, że jutro niedziela —  
A tu w piersiach, co rzadko rozpiera wesele,  
Proroczko dzwonią serca — na wieczną niedzielę!  
Coraz raźniejszym tańcem po mym grobie depcą,  
A do ucha miłośne słowa sobie szepcą,  
Z miłością po tej ziemi każdy wzrok się toczy...  
A gdy to dzieć się będzie — ja otworzę oczy!

Znowu kiedyś w to miejsce, gdzie ja w grobie leżę,  
Lud pośród ciemnej nocy na wiecę się zbierze.  
Po niebie rozpostarły się czarne chmurzyska,  
Z oddali huk dochodzi głuchy, czasem błyska,  
W powietrzu cisza wielka, duszno — będzie burza!  
A tu w ciemnościach błoni często się wynurza  
Po kilka, kilkanaście postaci a białych:  
To lud schodzi się z wiosek w koszulach niecałych,  
Głodny, jeśli pogardził bydłębem dziś zdechłem.  
Nie jeden ośmielony swem grobowem czechłem,  
Wmieszał się w ten tłum biały, dawniej jemu nierad,  
Teraz ze szkoły grobu wstały konfederat.  
Zwiększa się rzesza chłopów; w środku tego tłumu  
Stoją starce, posagi powagi, rozumu —  
Rzekli: Zwołaliście nas, czego od nas chcecie?  
A młodzi: Wy pytacie? dobrzeż wam na świecie? —  
I z nagich, suchych piersi słowa najprzód smętne,  
A potem rwą się krzyki chropawe, namiętne —  
I wznoszą się do góry zaciśnione pięście.  
Gołębi na sokołów zmieniło nieszczęście!  
Więc starce głos podnieśli — spokojnie i długo  
Płynie ich święte słowo z ojcowską posługą,  
Coraz żywiej, płomienniej pierś u ludu dyszy —  
Już powaga tych starców nie zdobywa ciszy  
I okólnych słuchaczy złamały się ramy,  
Skoczyły ręce w górę i grzmot: Przysięgamy!  
A w odpowiedź błysnięciem spojrział okiem całym  
Bóg synajski — a słowo to stało się ciałem!



Schyliły się w pokorze trwożne ludu dusze...  
A gdy to dzieć się będzie — to ja się poruszę!  
Nakoniec przyjdzie chwila... oh! czy ona blizka?!  
Cała armia wybiegnie tu na te pastwiska,  
Tysiące kos zabłyśnie na tej sianożęci.  
Policzą się ci drobni, wyprostują zgięci!  
Będzie bój, jako żaden od wieków nie słynie,  
Dla trupów miejsca braknie, blizki San krwią płynie,  
W gołębach dawniej piersiach wre wściekłość tygrysia,  
Na ustach jedno hasło: Nigdy albo dzisiaj!  
Od dusz ulatujących aż powstaje wiatery,  
Kto stoi, czy upada, każdy z nich bohater;  
Dzieci biegną za kulmi, co jeszcze ogniste,  
I darzą rozpaczego już artylerzystę;  
Kobiety myją rannych — a najlepsze szmaty  
Krzyk nad konającymi: To za nasze chaty! —  
Skończył się bój zwycięski. Głębokim oddechem  
Odetchnęli — a potem i z płaczem i z śmiechem  
Rzucają się w ramiona szczęściem wniebowzięci —  
Ci, co jeszcze konają, konają jak święci —  
A żywi z wysilenia na ziemię upadli,  
Płaczą i oddychają....

Na ich nogi zbroczone krwią, na nogi bosc,  
Bóg spuszcza na obmycie czystą, białą rosę;  
Zachodnie niebo płonie radością rumiane...  
A gdy to dzieć się będzie — to ja zmartwychwstanę!!



Z LEGENDY:

PŁUG i SZABLA.\*)

1.

**B** było to bardzo dawno, dawniej niż świat stoi,  
Toż nie mogą pamiętać tego ludzie starzy —  
Po bitwie z szatanami wracał w pełnej zbroi  
Święty Michał na czele niebiańskich husarzy.  
Pospolite ruszenie rozpuścił do domu,  
A sam jeszcze lustrował kwarciane szwadrony —  
Tym dał chwałę, tym lekką nagane — jak komu;  
I ścierając znój z czoła, bitwą rozogniony,  
Nie obmywszy się ze krwi, w boski dworzec kroczył,  
I wkroczył jak zwycięzca — śmiało i wspaniale.  
Więc zaledwie hetmana swego Pan Bóg zoczył,  
Powstał z tronu: „A witaj mi, święty Michale!”

---

\*) Autor tej legendy zastrzega się przeciw wszelkim podejrzewaniom go o nieuszanowanie dla religii. Fantazyja ludu, tworząc legendy, wchodzi zawsze z ziemskimi pojęciami w świat nadzmysłowy; podsuwa nawet Bóstwu słowa i uczucia ludzkie. To, co zdaje się być humorem, jest tylko dziecięcą naiwnością. Autor miałby się za grzesznego, gdyby czuł, że uderzał w struny dowcipu — on uderzał w poważne struny ludowej prostoty. Wiersz ten, chociaż nieraz wywołuje uśmiech, bez uśmiechu był pisany.

*Przypisek autora.*

On zniżył się w pokorze i ugiął kolano.

„Zmachanyś waść!“

„Świadczę się tą zbroją rumianą,  
Boże mój miłościwy, żem nie szczędził dłoni;  
Zajeździłem pięć koni — no, ale w pogoni.  
Niech żyje Bóg! Zwycięską składam Ci buławę,  
Czyste wielkiej ojczyzny oddając granicę.  
Z tym paskudnem dyabelstwem dyabłą miałem sprawę,  
Ale teraz, gdy zdala ujrzy mą przyłbicę,  
Zmykać będzie w przestkach za dziesiąte piekła  
Ta reszta, niedobitków, która mi uciekła.  
Nie powstanie już więcej ten chytry pyszałek —  
Skąd kuchcie do patyny! — To mi gad, to śmiałek!  
Wzdy zgniecon już na zawsze, już spokój. Cześć  
[Bogu!

Na wieczne, wieczne czasy przytarłem mu rogu!“  
To mówiąc hetman boży bardzo się zapalił,  
Machał ręką, jak kiedy dyablów w piekło spychał;  
Słuchano go w cichości — Pan Bóg go pochwalił,  
A trąby uderzyły: Wiwat święty Michał!

I rzekł Pan Bóg: „A odpasz to mieczysko długie“,  
(Długi był na trzy mile) — „już na boje drugie  
Nie pójdziesz; rzuć go w otchłań, a sprawię, że  
[zniknie“.

On na to: „Miły Boże! toć na ten rynsztunek  
Ja przecie zarobiłem; a szabla jak trunek —  
I anioł za nią stęskni, kiedy raz przywyknie —

A jeszcze taka głównia! bez skazy, bez szczerbu,  
Czysta, jasna, jak splendor anielskiego herbu!  
Niech ja już to żelazo na pamiątkę noszę —  
Królu mój miłościwy — bardzo o to proszę“.  
Więc pozwolił mu Pan Bóg przez wzgląd na zasługi.

I chodził święty Michał przez wiek wieków długi,  
Po świetlicach niebieskich w żelaznej odzieży,  
Z posadzek brylantowych dobywając brzęki.  
Z początku rozkoszował w nich jak żołnierz świeży,  
Lecz później, ile razy wziął szablę do ręki,  
Czuł, że go pali w dłoni wojenne zarzewie;  
Gdyby choć jakie mustry, albo jakie rewie —  
Miałby czem swe marsowe zapaly ostudzić;  
Ale tego nie znano — więc zaczął się nudzić.

Przed tron raz przystąpiwszy, rzekł do Pana Boga:  
„Wyślij mnie Panie Boże na jakiego wroga —  
Wszak dałeś mi tę szablę ku swojej usłudze,  
A w ciągłej beczynności na śmierć się zanudzę;  
Chodzę z kąta do kąta i aniołów straszę —  
Chyba mi już zwierciadłem zostać w mojej blasze,  
Dla rozkochanych w swojej piękności anielic —?  
Wzdy potrzeba takiemu zwierciadłu oh! nie lic  
Uśmiechniętych, lecz wrogów gromadę zaczepną,  
Co zapędzą się, spojrzą — padną i oślepną.  
A teraz ja straszylłem tylko dla gawiedzi!  
Ten Lucyfer jak załazł w piekło, tak i siedzi.  
Widzę, że i zwycięstwem można sobie szkodzić.

Nie trza było dyabłowi tak ostro dogodzić —  
Byłby się ruszał jeszcze.“

Pan Bóg się uśmiechał

I jak na dziecko patrzył. Odszedł święty Michał,  
Ciągłe nosząc swej troski nieulżony olów —  
I był najniezszczęśliwszym najstarszy z aniołów.

Aż gdy po długich wiekach przyszła ta godzina,  
W której Bóg na tę ziemię wysłał swego Syna,  
Aby ją splugawioną, oczyścił krwią własną  
I postawił przed Ojcem promienną i jasną —  
Umyślił Bóg, choć nieco wahał się w początku,  
Dać świętego Michała swojemu Dzieciątku  
Za straż, co pierwsze kroki dziecka ubezpiecza —  
Lecz nakazał, by nigdy nie dobywał miecza.

Chodził więc święty Michał za Panem Jezusem;  
Do uciezki egipskiej nagiął się z przymusem,  
I nawet z Maryą Panną w skutek tej uciezki,  
Podczas drogi do małej przychodziło sprzeczeki.  
Rozgderawszy się mówił: „Trza było przeczekać —  
Nie godzi się Synowi Bożemu uciekać!  
Bezpiecznie można było zostać w Nazarecie —  
A teraz, Bóg wie na co, włóczy się po świecie.  
Nie dobywając szabli, zabiłbym Heroda  
Ot tą pięścią — i spokój; - a i dzieci szkoda!  
Już to Pan Bóg łagodnie postąpił z tym wrogiem —  
Tyle dzieci! mój Boże! — Od czegoż być Bogiem?!“

A więc Najświętsza Panna sfukała bluźniercę:  
 Szczęliwieczałeś, jak widzę, ludzkie już masz serce,  
 Czemuż nie masz rozumu pobożnego człeka,  
 Co korzy się przed Bogiem, lecz go nie docieka —?  
 Ty tajemnice boże chcesz przebić swem czołem? —  
 Pyłem jesteś przed Bogiem, chociaż archaniołem!  
 Żal ci krwi niewiniątek? — a może anieli  
 Zazdroszczą tym wybranym tej krwawej kąpieli.  
 Nie wiesz, że krwi ofiarą zdobywa się ducha,  
 Że tę ziemię nieplodną łzami trza polewać,  
 Że na niej rosną tylko osty, kiedy sucha: —?  
 Ja chwały mego Pana nie przestanę śpiewać,  
 Choć wiem, że abym doszła do siódmego nieba,  
 Ze siedmioma mieczami w sercu iść mi trzeba;  
 Święta jest wola Jego — a jam służebnica.“

Archaniołowi wstydem zapłonęły lica  
 I łzy głębokiej skruchy pociekły mu strugą,  
 Gdy usłyszał królowę, co się głosi sługą.  
 Bił się w czoło i sarkał na siebie: Ot głupi!  
 Czym ja od Lucyfera zaraził się pychą?  
 To królowa aniołów! a patrz, jak jest cicha!  
 Gdy komu wadzi serce — to niech go wylupi!...“  
 I długo za świętego Józefa się chował,  
 A ukradkiem Maryji kraj szaty całował.

Odtąd przed wola Boga zginał się w pokorze  
 I był jako owieczka, choć żołnierz i mściciel —  
 I chodził za Chrystusem, gdy już Nauczyciel  
 Rzuczał słowa żywota nito głodnym zboże.

Acz w końcu nie odebrał z wytrwałości chluby,  
Bo znów go krew uniosła w chwili strasznej próby.  
Bowiem w nocy ostatniej na Oliwnej górze,  
Kiedy Chrystus oddawał się w ręce siepaczy,  
On stojący przy furtce w ogrodowym murze,  
A ujrawszy żołdactwo — w żalu i rozpacz  
Chwytał już za rękojeść... i wstrzymał się w pędzie —  
Spostrzegł się i wnet rękę opuścił bezwładnie,  
Bo słowa nie dotrzymać bardzo jest nieładnie,  
A dał słowo, że nigdy miecza nie dobędzie.  
Lecz gdy widział, że żołnierz pochwycił za ramię  
I włókł Syna Bożego — a wojenne znamię  
Miał Piotr przy boku — szepnął do świętego Piotra:  
„A palnijże po uszach choć ty tego łotra!  
Niech nam Chrystusa Pana nie biorą na sucho!“  
Święty Piotr dobył szabli — i zleciało ucho.

Spostrzegł Pan Bóg, że będzie z nim trudniejsza  
[sprawa,

W chwili, kiedy ofiara ma się pełnić krwawa;  
Że choćby miał i słowa swego nie dochować,  
Święty Michał Chrystusa nie da ukrzyżować;  
A że go wielce cenił i pełen był względu,  
Więc świętego Michała odwołał z urzędu —  
Inaczej świat nie byłby odkupionym światem,  
Bo bez krzyża — a kręto byłoby z Piłatem.

Kiedy Chrystus poniósłszy śmierć krwawą na krzyżu,  
Wracał z piekieł, ujrzał smutnego w pobliżu

Michała archaniola; ten do nóg się schylił,  
Rany jego całował i jak dziecko kwilił:  
„A bądźże miłościwym dla mnie Chryste Boże!  
Gdy Ty mi nie pomożesz — a któż mi pomoże!  
Stary Pan Bóg coś gniewny — i ja się nie dziwię,  
Miałby rację ukarać mnie — i sprawiedliwie.  
Miałem spokój! a teraz schodzę na ohydę -  
A jeszcze z własnej woli wlażem w taką biedę;  
Nie lepiej mi z innymi było hymny śpiewać —  
Trzebaż mi było miecza jak dziecku zachciewać!  
On to butną krewkością, napoił me serce,  
Jak wąż kusiciel szepce ciągle o żołnierce;  
Oto przy Twoich nogach tę pokusę kładę,  
Co z nią zrobić, gdzie podziać — daj mi Chryste radę!“  
A Chrystus odpowiedział: „Oto miecz ten skruszę  
Miłośnem przebaczeniem. Uwolniłem dusze  
Pokutujące w pieklach za śmiertelne grzechy....  
Bom nie jest wysłannikiem kary — lecz pociechy,  
Ani ja jestem sędzią, — lecz dawcą otuchy.  
Oto pragnę i żądam, ażeby złe duchy  
Nie chadzały z pokusą na glob odkupiony,  
Nie podnosiły w ludziach już dłużej złych chuci  
I nie stawiały sobie swych bożyszcz na trony;  
Ach! bo te ludzkie dusze bez tego tak słabe...  
Toż kiedy ciebie miecz ten i męczy i smuci,  
Użyj go po mej radzie za zaworną sztabę  
I załóż nią na zawsze te piekielne wrota,  
Niech na świat nie wychodzi szatańska niecnota“.



Święty Michał przed wolą Chrysta się ukorzył,  
Odpasał szablę, bramę piekła nią założył;  
Po zawieszeniu broni odszedł święty Michał,  
Ale wzięwszy dymisyę, zawsze nieco wzdychał.

## 2.

Był naród mieszkający na wielkiej płaszczyźnie,  
Co bujała to trawą, to lasami żyźnie,  
A niedalekie morze dla tej ziemi synów  
Wyrzucało na brzegi kawały bursztynów;  
Te przekłute na wylot, zsilone na sznurek  
Zdobily białe szyjki niewistek i córek —  
A bardzo tem cieszyła się każda niewiasta.  
Lud ten żył po bożemu, nie wiedział, co miasta,  
O cesarzach nie słyszał nigdy, ni o królach,  
I dzielił się na gminy, rządził się ojcami,  
A od ojca narodu zwał się Lechitami,  
I żył sobie swobodnie, jako pszczoły w ulach.  
A już całym narodem, co miał kształt pasieki,  
Rządził Bóg uśmiechnięty okiem swej opieki.

Więc prowadził ten naród żywot cichy, sielski,  
I pobożny był wielce i prawie anielski,  
Że mogło się wydawać, jakby prosto z raju  
Wyszedł na swe wygnanie z pamięcią dziewictwa,  
I spełniał w przeznaczonym na pokutę kraju  
Dany wyrok, bo prace i znoje rolnictwa.

Bóg dzieci nie opuszcza, choć je czasem karci,  
I łatwo zdobyć łaskę pełniąc Jego wolę,

Więc szczęśliwym był lud ten uprawiając rolę  
I chodząc z troskliwością około swych barci.  
Lubiał pieśni, co słodzą rolnictwa mokoły:  
Więc pracował i brzęczał tak, jak czynią pszczoły.  
Jaki zachód, chleb taki — skutek rodzą środki:  
To świętym był jak ziemia i jako miód słodki.

I chodził w białym płótnie własnego wyrobu,  
I w takim białym płótnie chował się do grobu,  
Nie mając żadnej krwawej plamy na odzieży;  
Bez pochuci do kłótni, nie znający wojny,  
Nie szukał za żelazem, co gdzieś w ziemi leży;  
Więc rozrastał się mnogo — rojno, bo spokojny.

Był to widok ucieszny nieraz dla aniołów,  
Gdy lud ten pod lipami usiadłszy u stołów,  
Przysłuchiwał się chętnie radom braci starszej,  
Co siedziała na wyższej kłodzie patryarszej;  
A opodal niewiasty, piękne jak królowe,  
Rańtuchami nakrywszy ścięte włosy płowe,  
Nito berła pokoju trzymają kądziele,  
I wesoło szczebiocą — a wiele, a wiele.  
Nad niemi na rumianej owocem jabłoni  
Kilka głosów dziecięcych wśród gałęzi dzwoni;  
A pod drzewem siostrzyczki, oczka i fartuszek  
Podniósłszy, do czerwieńszych miłą się jabłuszek  
I do sprytnych braciszków, coby je natrzęśli.  
A tu słyhać gęślarzy strojących swe gęśli...  
W długich szatach, z koroną dębową na głowie,  
Wyszli cicho z zieleni jak dobrzy bogowie;

Ich przyjściu dziwny jakiś powiew towarzyszy :  
 Starce, dzieci, niewiasty — wszystko tonie w ciszy.  
 O czarodziejska władzo słowiańskich śpiewaków,  
 Ty nawet do posłuchu zniewalałaś ptaków!  
 Oto lecą z pod strzechy już ku nim gołębie,  
 I u stóp czarodziejów siadły niestrwożone;  
 Tam bocian ruszył z gniazda na zeschniętym dębie,  
 I rozkraczył przed nimi swe nogi czerwone;  
 I już od tych śpiewaków zdobyły na wieczność :  
 Bocian jasną powagę — gołębie serdeczność. \*)

r. 1857.

\*) Legenda ta znaną jest między zagonową szlachtą podgórza karpackiego. W dalszej jej treści, św. Michał pokochawszy pobożne plemię Leahitów, gdy widział ich umęczonych przy uprawie ziemi, którą w braku żelaza obrabiali drewnianymi sochami — odłamał połowę swego miecza, narobił lemi szów, urządził pługi i obdarzył nimi swoich ulubieńców. Po niejakiem czasie, lecąc nad ziemią, obaczył łuny pożarne i usłyszał lament wielki: — to Germany palą lechickie sioła i mordują mieszkańców! — a ci bezbronni, nieporadni, gołębiego serca, poddają się losowi w bezwładności rozpaczy. Nie było chwili do namysłu; porwany uczuciem św. Michał, co tchu dopadł piekielnej bramy, oderwał resztę swego miecza, nakuł z niego mnóstwo szabel i wraca czempredziej na ziemię, łądy ogień i krew. Lechici ledwie dotknęli się anielskiej broni, poczuli się rycerzami i uderzywszy na nieprzyjaciół, wyrugowali ich ze swoich siedzib. Od tego czasu rysuje się wyraźnie historyczny charakter narodu polskiego: na poły sielski, na poły rycerski, z jakimś owianiem anielstwa; ale także od tego czasu uwolnione szatany rozbiegły się po świecie! Nasz drogi archanioł w niematy popadł ambaras; nie mało nasłuchiwał się wyrzutów od Chrystusa Pana. Podjął się więc wychowania Polaków i w ostrej ćwiczy ich szkole w tej nadziei, że oni kiedyś w przyszłości oczyszczą świat ze szatanów i boże na nim zaprowadzą rządy.

*Przypisek autora.*



## PTASIE GNIAZDKO.

Opowiadanie dla ludu.

1.

**G**użto nasz Janek, co siedzi na końcu,  
Można powiedzieć, że rodził się w słońcu,  
! Taką miał jasność i w twarzy i w życiu;  
Bo choć go ojciec odumarł w powiciu,  
No, ale matka, niewiasta wspaniała,  
Ta mu za siebie i za ojca stała.  
Mówiła: Młodam, z czarnemi oczyma...  
Nie chcę! i nie dam Jankowi ojczyma;  
Ono śmiejące pod piersiami leży,  
Anoż je potem chłopisko uderzy!  
Mówiła jeszcze: Rzetelne wdowieństwo,  
To jakby drugie a lepsze panieństwo,  
Boć przetrudniejsze; ja mój wdowi wianek  
Poniosę w niebo, gdzie mój mąż — kochanek!  
A już Pan Jezus taką dał mi duszę,  
Że co zamyszę a chcę -- robić muszę;  
I zrobię. Rzekła — a jak zamysliła,  
Tak i zrobiła ta osoba miła.

Żaden chłop duży lepiej nie harował,  
Jako ta matka, nim syn się wychował;  
Co inny w palce, to ona rękoma  
Chwyta, okrutnie na pracę łakoma.  
Zawsze na nogach widział ją doświtek,  
Wołała: Hajże! spanie niepożytek.  
Rosło jej w rękach, nitki rosły w bunty;  
Dwa półtoraczne przykupiła grunty,  
A i tę łąkę pod lasem od Kuby,  
Co z sąsiadami wodził się za czuby  
Po wszystkich sądach, tak procesy lubił,  
Aż poszedł z torbą — i już się odczubił.  
Mnogo bogactwa w polach i do skrzyni  
Nagromadziła mądra gospodyni.

Na jej obejściu królewskie dostatki.  
Co za chudoba — budowle — i statki!  
Stajnia niby dwór — czy nie?... A stodoła? —  
Może na chłopą niższa od kościoła;  
Może na więcej. Taka w tem dziwota,  
Jakby dla ścieżki stały wielkie wrota —  
Bo chałupina, w której Jaga mieszka,  
Wązka, wdeptana, i krzywa jak ścieżka.  
A gdy się ludzie dziwią, tak im mówi:  
Pobożnie było w niej chrześcianinowi;  
Niech sobie krzywa, byle mnie nie krzywa,  
A tum rodzona, i była szczęśliwa.  
Inne na swarnię założenie mają,  
Ona na miłość, i w niej się kochają.

Nie długo mi żyć, nieboszczyk mój śni się  
 Co noc, już szuka za mną, widzi mi się.  
 Tu -- niech mi Janek przywiedzie swą młodą,  
 Tu — niech mu pierwsze kwili na urodę,  
 Potem niech stawia, gdy go zrobię pankiem,  
 O dwóch kominach choćby dom — i z gankiem!  
 Tak mówi. Chatę podlepia, podpira...  
 Stoi krzywula, Jaga nie umiera.

Hej Janek, Janek — chłopak bujny, krewki,  
 Kiedy przechodzi czerwienięją dziewczki,  
 Kiedy się śmieje, to jak tęcza która,  
 Ano, kiedy zły, to jak czarna chmura.  
 Matkę miłuje baczny na jej wolę,  
 On jej: zazulo -- ona mu: sokole...  
 Przed matką czuj-duch, dla innych nie czujny,  
 W kupę się nie wziął, dlatego podwójny,  
 Jak orzech dwojniak, co to jeden zdrowy  
 A drugi świstun; bije mu do głowy,  
 Ni stąd, ni zowąd krew nim często rusza --  
 Jeszcze dopyta kiedy paralusza.

Hardy jest, w sobie bardzo zadufany,  
 Łąć nie taki, kłaścby go do rany:  
 Teraz on innym tylko kułak kładzie  
 Na grzbiety, prędko w ładajakiej zwadzie.  
 Dyzmie basiście czy łba nie rozwalil  
 Basem?... Rozwalil — i jeszcze się chwalił;  
 A pytaj, za co? że człeczek podpily  
 Zdrzemnął się trochę w granu... Jezu miły! —

Taki ten Janek — byle co, pięść w górę!  
Szczęście popsulo w nim dobrą naturę;  
Niechno go kiedy przywali nieszczęście,  
To spokojnie — i zwisną mu pięście.

## 2.

Gdybyście stali na wysokiej wieży  
Widzielibyście Janka jak należy.  
Ja i stąd widzę. Wyszedł teraz z boru,  
W nową sukmanę odzian dla honoru,  
Kapelusz z pawiem zawiesił nad uchem,  
Kontentny bardzo, że czuje się zuchem;  
Za pas szeroki wepchał dwa kulaki,  
Idzie hukając niby panicz jaki,  
Co panicz — idzie jako królik młody,  
Co nawołuje: klękajcie narody!

Na przelaj idzie, pilno mu i spieszno:  
Wraca do domu z nowiną ucieszoną.  
Widać stodołę, co byłaby blizka  
Gdyby nie łąka (bo potem pastwiska)  
Z trawą w pas; wkrótce będą ją sprząтали.  
On nie nie pyta, środkiem łąki wali!  
Nie żal jej, mówi, bo to łąka pańska;  
A szkoda szkoda, rzecz niechrześcijańska —  
I brnie! głęboka staje za nim ścieżka.  
Zdybie polowy, to dobędę mieszka.  
Tak znowu mówi; — co? albowiem nie bogacz?  
A przytem bodę — tom bogacz i bodacz!

I. brnie, aż kipi, nasz Janek jegomość.  
Jakąż on matce nieść może wiadomość,  
Dla której cudzą sponiewierał łąkę?  
Na granatowej sukmanie ma mąkę —  
Widzicie; w mące pośpiechu przyczyna,  
Albowiem w mące radośna nowina.

A tom was zagadł — myślicie, nie wiecie;  
Z młyna on wraca — resztę zrozumiecie.  
Z młyna on wraca od Jacka młynarza,  
Znakomitego na świat gospodarza,  
Co zdawna dzierży wielki młyn na Wulce,  
Stąd o pół mili, przy Maryjopólce.  
Hej, trzos u niego i jagła i Jagna,  
Warto doń chodzić przez skały i bagna!  
Janek nie chodził lecz na skrzydłach latał,  
I córkę Jacka dziś właśnie zaswatał,  
Różne w niej widząc przymiotów zadatki,  
I ten, że miała imię jego matki.  
Panna nadobna, pracowna, pobożna,  
Przytem kubitna, jak jaka wielmożna..  
Szczęście miał!

Słońce zachodzi w cichości,  
Na sen spokojny świat idzie w miłości,  
Biała po łąkach ścieli się pościółka;  
Wraca do ula zapóźniona pszczołka,  
Na rozkwiecanej zabawiwszy niwie;  
Półseny chruściel skrzypi żalobliwie,



Na Aniol-pański dzwońce najprzód dzwonią  
Zanim je głosy z dzwonnicy dogonią;  
Ptaszek na gniazdku skrzydelka rozkłada,  
Okrywa małe, bo już rosa pada.  
Niebo jak wielkie niebieskie pastwisko,  
Kędy na krańcu dagasa ognisko;  
Białawe chmurki rozbite na runo,  
Jak stado gąsiąt gdzieś na nocleg suną.  
I jedna tylko skłębiona, ponura,  
Pośrodku nieba stoi czarna chmura  
Dziwnym trafunkiem podobna do byka;  
Nogi, dwa rogi ma bestyja dzika  
I łeb spuszczone; wiatr skądciś nią trącił  
I huk się rozległ — czem szpetnie zamącił  
Miłą wygodę ciszy i słodyczy...  
To krótkie grzmienie znaczyło: byk ryczy.

Najadł się trawy osioł bałabański,  
Wybrnął nareszcie Janek z łąki pańskiej,  
I zły, bo zmęczon, dźga dalej bez drogi;  
Wtem mu ptaszyna frunęła z pod nogi —  
Patrzy: gniazdeczko pod cierniowym krzakiem,  
W niem czworo piskląt śpi uspieniem takim  
Jakby świat cały był im gniazdem błogiem,  
Niebo skrzydłami matki, matka Bogiem.  
Inaczej mówiąc, taką to małość  
Czuło spokojność snu i bezpieczeństwo.

Co robisz Janku!! Bodajbyś nie dożył  
Pod gniazdko koniec buciska podłożył

I machnął nogą! Nie patrząc szedł dalej.  
Patrzało na to słońce, co się pali! —  
W górę porwane, jakby wichru siłą,  
Gniazdko dopiero tam się przechyliło,  
I wyleciały z niego cztery ciałka.  
Kiedy posucha, to ziemia nie miała —  
Jedno nieboże na grudę spiczastą  
Na wznak upadło — i leży jak ciasto  
Trupek; niewinna ofiara, dotknięta  
Bezmyślną złością ludzką, jak rączęta  
Rozskrzyżowała swe gołe skrzydélka.  
Drugie, tuż obok, złamało widelka  
Skrzydłne, a z dzióbka krew mu się wylewa;  
Drży, czasem zadrga — teraz często ziewa...  
Kona... nakoniec nóżki wyciągnęło...  
Na boleść krótką zbudzone — usnęło.  
Najniezszczęśliwsze trzecie, bo upadło  
Na krzak cierniowy, na kolecu osiadło,  
I jak na szpilce, gdy motyl się wierci,  
Przez długie męki iść musi do śmierci;  
Dziwny twój koniec, mój maleńki ptaku,  
Tak dawniej ludzi wieszano na haku.  
Czwarte opodal w trawę odleciało  
Żywe i zdrowe — widne jego ciało  
Czeka spokojnie na żarłoczną wronę,  
Co nadlatuje — i będzie zjedzone.

W powietrzu płacz, krzyk... jakby coś krzycało :  
Co mi się stało, ach, co mi się stało!

Co mi się stało!... A za co? A za co?...  
Czemu mnie skrzywdził ten człowiek ladaco?!  
I ja stworzenie boże!!...

Tym lamentem,  
Za swem potomstwem zglądzonem ze szczeniem,  
Zawodzi biedna matka nieszczęśliwa;  
Spada na trupki sama ledwie żywa,  
Włóczy skrzydłami około tej bryły  
Podobnej marom; potem od mogiły  
Goni za Jankiem rozogniona złością;  
Lecz żal silniejszy, bo z większą szybkością  
Wraca z pół drogi, a lecąc dojrzała  
Cierni, gdzie się męczy jej ptaszyna mała.  
Trzepocąc w miejscu nad nią się unosi,  
Całe stworzenie o ratunek prosi,  
Próbuje dzióbkiem oderwać dziecinę,  
Obraca cialko, co krwawe i sine,  
A wszystko na nic, na nic... Trudne rzeczy,  
Sama na cierniach tylko się kaleczy.

Widząc, że próżny ratunek dla dzieci  
Teraz już matka wprost na Janka leci.  
Nie miał on czasu, by odejść daleko;  
Działo się krótko, choć słowa się wleka.  
Już jest przy Janku, okraża go z krzykiem,  
Bije na niego w zagniewaniu dzikiem,  
Zdawałoby się, że mu do ocz skacze,  
A swoim głosem klnie, klnie, a nie płacze

Na jakieś widmo urosł ptaszek mały...  
Aż stanął Janek — „A to gad zuchwały!”  
Zamruczał — Chce iść... z miejsca się nie rusza...  
Nazad go ciągnie, nazad, jego dusza!  
Nie wie dla czego i co mu kazało  
Wracać — a wrócił; szedł wolno, nieśmiało —  
Przyszedł gdzie ciernie i kretowin kupki,  
Ujrzał na bryle dwa leżące trupki...  
No, to komedia — tfy! — rzekł i splunął,  
Machnąwszy ręką swą drogą posunął.

Czekajno chłopcze, nie pędź, coś ci powiem.  
Widzisz, Bóg darzy ciebie dobrem zdrowiem,  
Dał ci urodę i majątność sporą,  
Co innym ot tak, tobie w dziesięcioro;  
Matka cię strzegła niby swoje oko,  
Kochała ciebie miłością głęboką  
Jak morze, wielką, jak niebo bez granic...  
Ty miłość ptasiej matki miałeś za nic?...  
I dziś, Bóg dobry dał ci nie to ino,  
Związał tve serce z pobożną dziewczyną,  
Spiesząc do matki w skok, na jednej nodze,  
By ją ucieszyć — zabijasz po drodze?!...  
Najprzód bijaleś, a teraz zabijasz.  
Tak, tak — zabijasz!! Jak wąż się wywijasz  
W mem ręku — mówisz, że to swawoleństwo  
Głupie ot sobie — a to bezeczeństwo!  
Czem obrażona jest jasność niebieska.  
Twa dusza za to odpowie, nie kieska!

Bo to nie łąka, którą stratowałeś.  
Odbierasz życie, a życia nie dałeś!  
Idź, idź!... Opatrzność, to sąd nieustanny —  
Niech cię ratuje łaska Matki Panny!

Tymczasem matka ptaszęca w tę chmurę  
Wzleciała, co ma wejrzenie ponure  
Jak byk. A chmura: Ptaszku, gdzie ci droga?  
— Puszczaj, ja lecę ze skargą do Boga;  
Widziałś chmuro?

— Widziałam i płaczę.

— Łzy nie pomogą na moje rozpacze...

— Mam ogień i grad!

— Cóż z tego — i inn

Mogliby przytem szkodę mieć, niewinni.

Odrzekło dobre i rozumne ptaszę.

A chmura: Pojdę więc na lasy nasze,  
Rozpowiem wszystko, niech radzą.

I żwawo

Mrukliwa chmura puszcza się na prawo,  
Na wielkie bory do Czarnego Kąta,  
Kędy siekiera zdawna się nie krząta  
I siedzą sobie w spokoju staruchy.  
Po chwili w borach szum przeciągnął głuchy,  
I zaraz powstał skrzyp, łomot galezi,  
Jak gdyby wyrwać się chciały z uwięzi;  
Ale niebawem gniew swój uciszyły,  
I hen, za północ, coś drzewa radziły.

## 3.

Hej, stara chato, prostuj swoje ściany,  
Idzie z weselem twój Janek kochany;  
Hej, stara chato, zmiana w tobie będzie:  
Jedno ubędzie, a dwoje przybędzie.

Minęło lato: przywiódł swoją młodą;  
Nadeszło drugie: kwili na urodę  
Pierwsze niemowlę; a między tym czasem  
Poniesli Jagę na cmentarz pod lasem —  
Bo taki w świecie porządek rozumny:  
Wchodzą kołyski, skąd wychodzą trumny.

Kiedy ostatnia jej przyszła godzina,  
To się podniosła, przywołała syna,  
Wody popiła, bo pierś miała suchą,  
I tak mu rzekła cichutko na ucho,  
Aby Jankowa żona nie słyszała,  
Co o piec wsparta garnków pilnowała  
Łzy ocierając.

— Mnie do nieboszczyka  
Już czas, mój Janku... furta się odmyka.  
Hajże, iść trzeba, długie było spanie —  
Już mi zabłysło niebieskie świtanie.  
Słuchaj, coć powiem, a bierz to do głowy.  
W tobie są różne niedobre narowy,  
Hardyś, zuchwały, nienizszy nikomu...  
Tyś swawoleństwa czynił pokryjomu.

Mówię ci, trzymaj przy sobie kulaki!...  
No, nie płacz Janku, nie zawsze ty taki.

Śmierć moja ciebie nad miarę z bogaca,  
A nie bądź dumny, bo to moja praca.  
Tyś nic nie zrobił, i nic nie zasłużył,  
Inoś się Bogu za łaski zadłużył  
Bądź ludziom dobry, a biednym najlepszy;  
Człowiek łagodny i zdrowszy i krzepszy.  
No, bądź zdrów... koniom nie żałuj obroku,  
A nową chatę buduj, aż po roku.  
No, bądź zdrów synku, mój ty złoty Janku,  
Mój ty po mężu jedyny kochanku.  
A niech przystąpi tu do mnie i twoja...  
Kocha cię... jakby druga dusza moja...  
I dobra, dobra... to nie stukaj na nią...  
Szanuj ją... po mnie, ona w chacie panią.  
Klękajcie.. jeszcze krzyżyki położeń  
Na wasze głowy... potem umrę może...  
Wstań... (powstał Janek) nie... niech ona wstanie...  
(I bardzo ciche już było szeptanie —  
Głowę o łono synowej oparła) —  
Ten krzyżyk temu.. temu...

I umarła.

\* \* \*

Głupi kto szuka na smutek lekarstwa,  
Głupszy kto daje rady, bo to łgarstwa;  
„Nie myśl a pracuj“ — ktoś jak z książki czyta —  
Ba, człek się chwyta, praca się nie chwyta —

A w sercu boleść, w głowie siedzi troska,  
Jak ówioki siedzą!... Czas i łaska boska,  
Te są doktory jedyne na smutki —  
Ja to znam.

Chłopy, wy zaraz do wódki!  
W smutkach pijacie, w radościach pijacie,  
A potem bieda... źle tak panie bracie.

Janek po karczmach nie szukał ratunku;  
Skuteczniejszego ale zażył trunku,  
Gdy w jego chacie, jakby gość niebieski,  
Zjawił się chłopak małeńki i rześki.  
Jego po matce ciężka, długa żalność  
Wnet ustąpiła — bo o żonę dbałość,  
Nowe dla dziecka uczucie gorące,  
Nad jego smutkiem były wszechmogące.  
Teraz to małe powija i huśta,  
Co moment kładzie mu na czołko usta;  
Twarz jego chmurna zrobiła się cicha,  
Jakby mu z piersi ciężar spadł — tak wzdycha.  
A gdy po roku brał się do budowy,  
Nowe rozkosze były mu do głowy;  
A do budowy brał się niepomalu —  
Sporo pięknego ściągnął materyalu,  
A mianowicie od Czarnego Kąta,  
Gdzie już siekiera niemiecka się krząta,  
Bo wielkie dobra te żyd niemiec kupił,  
Kiedy szlalcica najprzód lichwą złupił.



Dzisiaj u Janka domu zakładziny.  
Będą zaciągać grube podwaliny  
Z twardego dębu; zeszła się nielada  
Do tego aktu sąsiadów gromada.  
Jest i muzyka, w niej Dyzma basista,  
Co gra nieczysto, lecz pija do czysta,  
Lubiący w każdej okazji ochłapki;  
Nieufny patrzy z pod futrzanej czapki —  
Bo wziął zimową, przezorny — gdyż czasem  
Łeb jego senny spotyka się z basem.

Cieślom przewodzi majster co się zowie,  
Lepszego szukać choćby i w Krakowie;  
W krótkim kubraczku, młody, zwinny, krępy,  
A z ócz wyziera mu rozum nietępy;  
Wie, co wart, głośno swoją godność czuje,  
I jak oficer tak komenderuje.

Sluchajcie Kasprze, rzekł Janek do majstra,  
Wy niby stolarz od hybla i klajstra,  
Zróbże mi ganek (Pana Boga chwalić),  
Siedzieć w nim będę i cygara palić;  
A na tym ganku zrób różne figlasy —  
Gdy starczy kieski, to wystarczą lasy.  
Zróbże, by szukać drugiego ze świecą.  
— Chyba się z dworską nie znacie kaplicą, —  
Odburknał majster — przy niej, gdzie jasiony,  
Tam dom! — a ganki het na wszystkie strony!

Kto go zbudował dla starszego pana?...

Kto?... Ja. Zobaczcie jaka tam werana! \*)

A z francuskiego robiłem rysunku —

Uczcie innego, nie miejcie frasunku.

Przytem, choć bogacz, jesteście nieukiem:

Stolarz nie kłajstrem robi — lecz karukiem!

Śmieją się chłopcy. Janek zaciął zęby,

Ostrego słowa by nie puścić z gęby;

Dbał on o majstra — więc zawołał rychło:

Żono, daj flachę! — i wszystko ucichło.

Nim podwaliny zaciągniemy rażno,

Trzeba przed ludźmi wystąpić pokażno

I nie żałować, gdy łakną i pragną —

Szepnął jej Janek — idźże moja Jagno,

Zbierz kumy, swachy, przygotuj śniadanie;

Chłopca tu zostaw, nie mu się nie stanie —

Niech spi w kołysce.

Odeszła, a Janek:

„Niech żyje majster setny — i mój ganek!“

Przechylił flaszkę — i krążyła czarka.

Gdy leją, czasem przebiera się miarka.

Dyzma już drzemie — lecz Janek był trzeźwy,

Tylko nad podziw rozkoszny i rzeźwy.

Zaś innym iskry w oczach się paliły,

A każdy, czując potrojone siły,

\*) Weranda.

Gadał o sile, a gadał z ratafi;  
Ten to, ten owo podźwignąć potrafi.  
Janek uśmiechał się tylko, a hardo —  
Mówię wam, trzeźwy był — głowę miał twardą.

Wiosna i ranek. Słońce promieniste —  
Kwitną czereśnie — niebo jak szkło czyste —  
A tylko jedna skłębiona, pouura,  
Pośrodku nieba stoi czarna chmura,  
Dziwnym trafunkiem podobna do byka.

Janek już dłużej nie wstrzyma języka;  
Sam zawadyjak, samochwalca, śmiałek,  
Nie lubiał słuchać u drugich przechwałek;  
Także od majstra konfuzję chciał zmazać,  
Więc tak zawoła, aby się pokazać:  
Ja się nie chwale, a wy się chwalicie —  
Z Czarnego Kąta ot ten bal — widzicie?...  
Kto go poniesie sam, wzięwszy na barki?...  
A cóż? Nikt, nikt z was do tego nie szparki?...  
— Nikt, nikt — odrzekli.

— Daj Dyzmie szturchańca,  
I graj muzyka, graj! jakby do tańca —  
Zawołał Janek.

Przyklęknął — i dźwignął  
Belek na barki — sam siebie prześcignął!  
Szedł, szedł... okropnie na twarzy czerwony.  
Przystanął — szedł, szedł... chwiał się na dwie strony.

Szedł, szedł... a nogi stawia jak dwie kłody.  
 — Już dosyć! krzyczą. — Szedł dalej bez szkody.  
 Raptem! natrafił na grudę spiczastą,  
 Potknął się, zachwiał — i upadł jak ciasto...  
 Belek odskoczył na bok...

Jezus Maryja! Zabite! zabite!! —  
 Już leci Jagna! Już ono przykryte  
 Matką, co padła na dziecko zemdlona...  
 Nie chcę! nie widzę więcej...

. . . . .

Krwia zbuczona,  
 Dziko patrząca, stanęła przed mężem:  
 Kto ty? kto ty? Mów!... Tyś zdrajcą i węzem!  
 Tyś zwodził mnie, świat... Krew była na tobie!  
 Krew była! Ciebie ktoś przeklina w grobie!  
 Mnie mówi to — tu!... tylko nie wiem kogo...  
 Gadaj mi zaraz!

— Nikogo, nikogo...

Jak małe dziecko bełkoce i kwili  
 Splakany Janek — i do nóg się chyli.  
 — Wójta wołajcie!... on kogoś ograbił  
 Z żywota... Gadaj, kogoś przedtem zabił?!  
 Tyś zbój! inaczej Bóg by się nie srożył  
 Nad tobą... Żyłeś, abys tego dożył!!  
 Teraz pójdziemy każde swoją drogą...  
 Tobie kajdany, mnie grób...

— Ja nikogo,

Nikogo... jęczy i tarza się w prochu,  
Cały rozbity w rozpaczy i szlochu.

Aże i ona w lzy się roztopiła:  
Gdzie moje złotko, gdzie dziecina miła...  
Gdzie, gdzie!...

I zwiśla w objęciu kum, swatek  
Najnieszcześniejsza na tej ziemi z matek.

U rogu starej chaty on uklęknął  
I o słup bije głową, aż słup stęknął;  
Potem skamieniał i oczy wyszczerzył  
Martwe, jakoby klęczący już nie żył.  
Potem się zatrząsł, jak ten, co zaczyna  
Zbierać swe myśli i coś przypomina...  
Ach, i przypomniał sobie, że na łące,  
Jak grom uderzył w ciche gniazdko śpiące!  
I nagle podniósł krzyk straszny, gorący:  
Tyś Bóg! Wiesz wszystko, Boże wszechmogący! —  
I padł...

Po kątach kryje się gromada  
Milcząca, chmurna, przestraszona, blada.

4.

Jesiennym liściem łatwo wiatr pomiecie;  
Było, żem długo wędrował po świecie,  
I syt wróciłem świata i hałasu.  
Rok temu, w lato, poszedłem do lasu

Użyć zapachu sosen i paproci;  
 I na pagórku, co mniej się wilgoci,  
 Tam położywszy się twarzą do góry,  
 Patrzałem w duszę własną i na chmury.  
 Przedemną mała łączka, kilka krzaków —  
 Na łączce kwiaty, w krzakach świegot ptaków.

Głos mnie dochodzi — widzę, niedaleczko  
 Siedzi na ziemi i trzyma gniazdeczko  
 Niby pastusze jakieś, chłopak mały,  
 I powtarzając: Już się wylęgały!...  
 Jedno o drugie bije jajka ptasie.  
 Aż mu nad głową ktoś krzyknął: A za się! —  
 I za czuprynę, i w lico go tłucze,  
 I raz wraz woła: A ja cię oduczę!...  
 Po co to robisz?...

— Ja chciałem „jajeczniczy“...

Skomli chłopiątko trzymane na smyczy,  
 A krew mu ciecze z nosa z inną ciecżą.  
 — Masz jajecznicę! Kaleczysz? — kaleczą! —  
 I znów go tyrpie i okłada szpetnie —  
 Kto?... Nie zgadnicie. -- Dziewczę ośmioletnie.

— Puść go! — krzyknąłem i z ratunkiem spieszę.  
 Chłopak się wyrwał i już w pole czesze,  
 A ona stoi, z przerwy zła okrutnie,  
 W boki się wzięwszy, patrzy na mnie butnie.  
 — Dlaczego biłaś? — pytam niby w gniewie.  
 — Biłam, bom mocna; ten pyta, kto nie wie.

A ja znów: Czyjaś?

— Swoja; skąd ciekawość? —

Więc ja inaczej: Jeżeli łaskawość,  
Niechże panienką odpowie statecznie,  
Bo teraz pytam bez gniewu i grzecznie.  
A ona na to: Tak, to co innego;  
Najstarsza córka ja u ojca swego,  
I zwę się Jaguś.

Minęła zła chwila

I już Jagusia do mnie się przymila,  
I między nami już śmieszki i fraszki.  
I rozpowiada, jak miłuje ptaszki,  
Jak u nich w domu, w czereśniowym sadzie  
Na bezpieczeństwo ptak swe gniazdko kładzie;  
I mówi jeszcze, że źli ludzie gardzą  
Ptakiem i bydłem, a pan ojciec bardzo  
To nakazują, by kochać zwierzęta, —  
Bo one sługi, a ludzie panięta,  
Jako nauczał nas święty Franciszek.  
I ona serce ma lepsze dla pliszek,  
Bo każda żwawa i ogonkiem kiwa.  
Więc pytam: Jak się jej ojciec nazywa?...  
— Jan się nazywa, a „pan wójt“ u ludzi,  
Wójttem jest w gminie, kochają go chudzi,  
I zawsze u nich przed gankiem żebracy —  
A ojciec mówią: To także są ptacy,  
I choć nie sieją, potrzebują ziarna;  
A kto im skąpi, temu praca marna.

I pytam jeszcze, Matka żyje?

— Żyje.

— A dzieci wiele?

— Jest tego jak maku;

Najmniejsze leżeć mogłoby w przetaku.

Idziemy razem, pięknie, pomaleńku,

W miłej rozmowie, jej ręka w mem ręku;

W drugiej zaś niosła leśnych kwiatów snopek,

Pewnie nie mniejszy, jak ów bity chłopek.

— To na co? — pytam,

— Na grób, gdzie nasz Bartek;

Piorun go zabił w czwartek, a dziś czwartek.

— Kogo?

— Braciszka.

— Dawno?

— Mnie na świecie

Nie było jeszcze. Kwiatki nosim w lecie,

W zimie przed lampą modlimy się szczerze.

Ho! ja uczona na wszystkie pacierze.

Ścieżka szła żytem w lewo, zaś na prawo

Moja ścieżyna zieloną murawą.

Gdy przyszło żegnać się, Jaguś tak rzecze:

Ja jegomości powiem, co mnie piecze.

Ja na początku była dla was harda —

Nie mówcie ojcu — bo skóra nie twarda,

A oni biją za to, jak przedwczora,

I wciąż wołają: Pokora, pokora! —



Więc obiecałem i pocałowałem,  
 A że się znalazł piernik, ten jej dałem,  
 I poszła lewą ścieżką między żytem,  
 I utonąła w tem życie zaszytem.

\*            \*            \*

Ażeby lepiej to, co chciałem, dowieść,  
 Powiem wam jeszcze niedługą przypowieść.

Był pan - ten człeka sobie przysposobił,  
 Potem go rządcą i kasyerem zrobił.  
 Zdając mu kasę, rzekł: Na swe odzienie  
 Bierz ile zechcesz, i na pożywienie;  
 A żeś łakomnik i nieładajaki,  
 To bierz dowolnie na różne przysmaki -  
 Niech wiedzą, że ci nad miarę życzliwy.  
 Jeżeli pieniądz znajdziesz zły, fałszywy,  
 Możesz go zniszczyć; a zgubisz przypadkiem? -  
 I to nie będzie przeciw tobie świadkiem.  
 Słowem, rządz kasą w każdej swej potrzebie,  
 By z dobrą wolą. Spuszczam się na ciebie.

A-no, już kasyer rządzi się i szasta,  
 Brał na tysiące dla siebie, nie na sta.  
 Pan nic. Na wszystkie rozpuścił się żądze,  
 Jak woda ciekły mu w rękę pieniądze.  
 Pan nic. Aż razu pewnego pan widzi,  
 (Co opowiadać tylko człek się wstydzi),

Że jego kasyer — (bodaj go zdeptali!)  
W staw rzuca złoto, a banknoty pali!  
Wszystko walorne! — Gadał, kto ci kazał?  
Po co to?

— Abym moją moc pokazał!  
Odrzekł — a mówiąc, ani okiem zmrużył.  
Powiedzcież — na co taki człek zasłużył?!...

Ten pan, to Pan Bóg — kasa, to zwierzęta —  
Kasyer, to człowiek w swej pysze bez pęta.

r. 1884.



## Spis rzeczy.

|                                             |     |
|---------------------------------------------|-----|
| Maraton . . . . .                           | 5   |
| Ustęp z powieści sybirskiej . . . . .       | 19  |
| Podróż przerwana . . . . .                  | 30  |
| Pogrzeb Kościuszki . . . . .                | 63  |
| Konfederat . . . . .                        | 71  |
| Ostatni Buczacy (scena z dramatu) . . . . . | 79  |
| Wieść o Adamie Mickiewiczu . . . . .        | 87  |
| Po latach ośmnastu . . . . .                | 98  |
| Błonia Medyczne . . . . .                   | 117 |
| Pług i szabla (z legendy) . . . . .         | 122 |
| Ptasie gniazdko . . . . .                   | 132 |

~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH  
Nr. \_\_\_\_\_~~

225000  
25

1000000  
20

150000

१९९१ -०१- २ ०

२१.०५.१९९९

२००९-०९-०३

२०१२-०९-१५

२०१३-०९-११

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE  
w GLIWICACH

Q 3001